Nr. 11. Warszawa, dnia 6 (18) Marca 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Niemcy a Francya.

Interpelacya deput. Amonda na posiedzeniu francuskiej Izby przedstawicieli w d. 8 b. m. pobudziła ministra wojny, Freycineta, do zwierzeń, wiernych prawdzie, ale bolesnych dla narodu. Oto Francuzi doszli już do *maximum* wydajności żywego materyału na żołnierza, liczebnie zwiększać armii swej już nie mogą. Zrobiono wszystko, co było do zrobienia; znalazłszy się na szczycie, nie można już iść wyżej. Dla spotęgowania swej zbrojności Francya od r. 1874 ustawicznie zwiększała pobór wojskowy. Gdy w r. 1874 wzięto 136,000 tysięcy, w r. 1897 społeczeństwo wydzieliło z siebie nowej plazmy wojskowej o 107,000 jednostek więcej. I przy takim olbrzymim przyroście — nie może dorównać i nigdy nie dorówna Niemcom. Minister, stwierdzając tę smutną dla patryotyzmu francuskiego prawdę, nie zaniedbał pocieszyć go sentencyą, że możliwą dobrą jakością wynagrodzić sobie potrzeba niemożliwą wielką ilość.

Pociecha rozsądna, a jako zasada zbrojności narodu wogóle bez względu na większą lub mniejszą społeczną lub narodową wydajność zawsze szacowna i zawsze też umysłom porządnym prawo dyktować powinna. Ale przy całym tym rozsądku i powadze, fakt liczebnej niemocy stoi niewzruszony. Społeczeństwo francuskie jako całość zorganizowana przez obyczaj i prawo, a może, co byłoby gorszem, i sam już naród jako naturalna gromada etniczna, traci swą płodność: żniwo miłości małżeńskiej tak mało wyższem jest nad żniwo śmierci, że powolność przyrostu nie zostaje w żadnym godziwym stosunku do niecierpliwości i niepokoju patryotyzmu narodowego. Pocieszał wprawdzie gen. Billot, w r. 1897 minister wojny, komisyę ówczesną Izby przedstawicieli, że tylko patrzeć, jak się śmiertelność zmniejszy, a więc liczba popisowych zwiększy, przez nią zaś i stan liczebny armii. Francuzi patrzą —i nieprędko się dopatrzą.

Nie o śmiertelność tu chodzi, ale o płodność. Śmiertelność we Francyi i równolegle z nią biegnąca emigracya nie są większe, niż w Niemczech, a jeżeli suma ogólna wykazuje jaką różnicę na niekorzyść Francyi, co nie jest nawet prawdopodobnem, daleko większą na pewno już wykazuje porównanie płodności małżeństw niemieckich a francuskich na korzyść Niemiec. Tu jest dół, tu na wiarę i nadzieję francuską czyha zwątpienie, a może i rozpacz. Daremnie pociesza Francuzów Freycinet jakością: alboż to Niemcy są zbieraniną i hałastrą; alboż to porządki niemieckie ustępują i ustępować nie przestaną w kierunku stałej już rozbieżności porządkom francuskim; alboż to żołnierz niemiecki i jako drągal wyćwiczony i jako istota ludzka z sercem porywającem, z egoizmem obronnym stoi dziś lub kiedyś stanąć będzie musiał niżej od francuskiego, a oficer, sztab, rozum organizujący zbrojność i kierujący żołnierzem skazany jest na pobicie bez nadziei w wyścigu coraz większego i coraz doskonalszego uwojennienia społeczeństwa? Wyższość jakościowa jako gwiazda przyszłości jest tylko świeczką zapaloną przez dziecko na choince, a z niższości liczebnej leje się mrok, bezdenny mrok: Francya jest, i będzie, i coraz bardziej stawać się musi słabszą od Niemiec.

Można na pewno twierdzić, że statystyka roku 1900 wykaże w Niemczech 55 milionów ludności, kiedy we Francyi zaledwie wyda 40 — o całe 15 milionów mniej. A przyrost ludności! Kiedy w roku 1894 w Niemczech przewyżka nad śmiercią wynosiła 696,864, we Francyi nie dosięgła nawet piętnastej części tej sumy ($^{10}/_{175}$) i przedstawia się w liczbie 39,768. Olbrzymiej tej różnicy nie pokrywa w drobnej nawet części imigracya: małostkowy bowiem egoizm narodowy powstrzymał przypływ Włochów i Hiszpanów, utrudniając im zarobkowanie. Jako społeczeństwo urządzające się dowolnie Francuzi robią istotnie wszystko, co mogą w zaciągach wojskowych: owe 243,000 rekrutów wyobrażają 6 jednostek wziętych do wojska z każdego tysiąca mieszkańców —*maximum* poboru; ale nie robią jeszcze wszystkiego w organizacyi samej służby, samej siły wojskowej. Gdy się porównywa stan liczebny ich armii ze stanem liczebnym armii niemieckiej, jakiem oba były w d. 1 stycznia r. b., dostrzega się po stronie francuskiej wielki niedobór rozumu, czy przytomności umysłu, czy też instynktu zachowawczego, umiejącego dalekie niebezpieczeństwa dostrzegać. Oto Francuzi mają, i nawet po reformie obecnie w Berlinie wyżymanej z sejmu cesarstwa mieć będą, więcej żołnierzy od Niemców (516,378 i 502,506, albo

495,500), ale za to nieskończenie mniej — zaledwie połowę podoficerów (81,446 i 40,623). Cała niższość biologiczna Francuzów nie zdoła im zatamować skutecznego współzawodnictwa z Niemcami na tem polu, a jeśli jeszcze jest we Francy prawdziwy patryotyzm, zwiększeniem, i to szybkiem, liczby podoficerów objawić się powinien. Bez patryotyzmu nie będzie nic: żołnierza biorą za łeb, podoficer, ten nadliczbowy, służy dobrowolnie: trzeba tylko chcieć i umieć go przyciągnąć. Cokolwiek prawił p. Freycinet o podrzędności nowych formacyj podczas wojny, o piorunowej szybkości przyszłych wojen — pomnożenie liczby podoficerów powinno być pierwszą troską każdego dobrego ministra wojny we Francyi.

Tydzień polityczny. Zatarg Włoch z Chinami o San-mun (w prow Czek-kiang) jest jeszcze teraz zatargiem o samą propozycyę dzierżawy. Odesłanie noty, dla Europejczyka zniewaga, dla Chińczyka było uprzejmością, zapobiegającą odmowie. Jednak gdy Tsung-li-Jamen przekonał się, że czarne jest czarnem, przysłał przeproszenie, ale znowu z obrazą grzeczności. Zapowiedział wreszcie posła do Rzymu. Spodziewano się tu już i ubicia materyalnej sprawy; poseł przybył, ale tylko z przeproszeniami, o sprawie samej mówić mu nie było wolno. Włochów to rozgniewało; chcą czemprędzej skończyć już nie z grzecznością, ale z zatoką chińską; przed końcem marca mają już ją zająć bez kontraktu, który znajdzie się później. Pogłoski przynoszą już nawet upoważnienie właściwego wice-króla przez Pekin do ustąpienia—z protestem. Z oświadczeń figur rządowych włoskich widać, że mocarstwa były uprzedzone; żadne się nie oparło. San-mun leży pomiędzy sferą interesów angielską a sferą interesów niemiecką. Kompania handlowa czyha już na zajęcie, ma zbudować 500 klm. kolei do kopalni węgla, a po zbudowaniu zaszczepić wielki europejski przemysł i handel. San-mun przeznaczono na metropolę handlową całej prowincyi.

Musiał coś w tym kontredansie z Chinami zawinić poseł Martino, bo go odwołują, następcą Orsini z Jeddo.

Anglia w r. 1899,1900 wyda na nową flotę programatową 8,200,000 f. st. w okrągłej liczbie, a ogółem na marynarkę 26¼ mil. f st., o 4 m. więcej, niż w roku poprzedzającym. Min. Goschen uważa taki wypadek za zbyt skromny w porównaniu z nakładami innych mocarstw. Dla uskromnienia tej skromności dodał kilkadziesiąt słów o kongresie majowym, zebrać się mającym w sprawie zmniejszenia uzbrojeń. Sens: jeśli inni zmniejszą — dając dobry przykład — zmniejszy i Anglia. A tu właśnie nikt dobrego przykładu dawać nie myśli.

Pod Tulonem wyleciała w powietrze prochownia. Znalezienie w pobliżu nabojów dynamitowych nie pozwala wątpić o zamachu anarchistycznym. Freycinet d. 11 b. m. przyrzekł zrewidować i zabezpieczyć wszystkie prochownie we Francyi.

Odkryciami Esterhazego w *Daily Chronicle* nabijają sobie wiatrówki dzienniki francuskie. Odkrycia obciążają Boisdeffre'a i Pellieux'go. Ciężar lekki, dopóki go nie nałoży sąd. Freycinet przyrzekł znowu energię.

Podczas rozpraw nad budżetem ten sam minister obronił instytucyę pełnomocników - *attachés* wojskowych od zniesienia.

Cecil Rhodes, wielki Anglo-Afrykanin, rozmawiał długo na osobności z cesarzem Wilhelmem. Dzienniki widzą już braterstwo kolonialne w Afryce, nabycie Delagoa, podzielenie się czarnym kontynentem, kolej nawskróś od Aleksandryi do Capetownu — i nawet serdeczny przyjazd do Cowes po kilku latach nieserdecznych wcale stosunków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

STACYE DOŚWIADCZALNE.

Od kilku lat dopiero zaznaczył się u nas ruch i postęp w zakresie systematycznego i zorganizowanego zastosowania nauki w praktyce za pomocą pracy doświadczalnej, a zaledwie w ostatnich czasach, dzięki pomyślnym owocom tej pracy, zaczęto ją cenić należycie. Najpierw stworzono dla rolnictwa stacyę w Sobieszynie, następnie, przed paru miesiącami uznano za niezbędne założenie jej filij w różnych miejscowościach kraju. Niezależnie od tego stworzono stacyę oceny nasion przy warszawskiem Muzeum przemysłu. Istnieje wreszcie specyalny zakład hodowli nowych gatunków kartofli w Całowaniu i Sobiekursku. Tak więc rolnictwo pod tym względem poszło racyonalną drogą, zbliżyło się do kultury zachodnio-europejskiej. Nacisk potrzeby jest tak wielki, że łamie on przesądy i rutynę długotrwałą. Piwowarzy warszawscy, którzy przez długi czas usiłowali podbijać spożywców lichym towarem, spostrzegli naraz, że współzawodnictwo wyrobów zagranicznych, ryskich a nawet wileńskich, zaczyna im poważnie zagrażać. Postanowili tedy wezwać do pomocy naukę, przez długi czas lekceważoną i zastosować ją w praktyce: Założyli przed kilku tygodniami własną stacyę, której celem jest badanie produktów surowych. Troszkę za późno, ale w każdym razie na czasie.

Za granicą, jak wiadomo, najmniejszy objaw niedbalstwa i przesądów w tej mierze byłby powitany z szyderstwem, a co gorsza- niedbali i przesądni bardzo prędko odczuliby materyalnie z całą świadomością zachowawczość swoją. Skutkiem tego na Zachodzie niema dziś gałęzi produkcyi, którąby nie posługiwała się nauka w pracy doświadczalnej. Artykuły spożywcze, hodowla nasion, buraków cukrowych, produkcya nawozów sztucznych, ogrodnictwo, piwowarstwo, gorzelnictwo mają swoje pracownie doświadczalne, nieraz bardzo kosztowne pod kierunkiem pierwszorzędnych sił naukowych. Ale sam koszt nikogo nie przeraża, bo każdy wie, że będzie on pokryty z lichwą. To też w Niemczech nawet pojedynczy hodowcy i przemysłowcy utrzymują własne pracownie tego rodzaju, jak np. bracia Dippe w Quedlinburgu do badania buraków cukrowych, Ludwik Jäger w Kolonii, Ehrenfeld, do badania różnych gatunków gliny itd.

U nas jednak, pomimo świetnych i niezawodnych rezultatów, osiągniętych na Zachodzie, są jeszcze gałęzie produkcyi, które dotychczas lekceważą ten doniosły czynnik rozwoju i postępu. Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze, posiadające wiele braków i grzechów, ma jeszcze i ten jeden na swojem sumieniu: nie może czy też nie chce ono zrozumieć, że dopóki nie stworzy stacyi doświadczalnej, — nie wywrze najmniejszego wpływu na kulturę ogrodniczą w kraju.

Obecnie mamy świeże, najnowsze ognisko ekonomiczne: Towarzystwo rybackie, jako oddział Towarzystwa rosyjskiego. Na pierwszem jego posiedzeniu w niedzielę ubiegłą odrazu się zaznaczył objaw postępu. Ale niestety, nie wypłynął on z ogółu hodowców, lecz z inicyatywy jednostki. Znany i energiczny hodowca ryb, p. S. Juszyński z Długiej Kościelnej, uświetnił otwarcie instytucyi wnioskiem stworzenia stacyi doświadczalnej na potrzeby przemysłu rybnego. W zakres jej działalności powinny wejść następujące zadania: Ponieważ nasz przemysł rybny opiera się przeważnie na hodowli karpia, więc stacya powinna postarać się o wytworzenie, przez krzyżowanie gatunków i odświeżanie krwi, nowej odmiany prędko wyrastających karpi, któreby wydały zarybek silny i zdrowy, zupełnie odpowiedni naszym warunkom klimatycznym i miejscowym i zdolny do wydania już w drugim roku tak zwanej ryby handłowej. Dalej do zadań stacyi należy: zbadanie, jakie gatunki ryb, obok karpia, mogą być z korzyścią hodowane w naszych stawach; dostarczanie hodowcom zarybku tych gatunków, tudzież wskazówek, jak je prowadzić należy. Zbadanie części składowych naszych wód i dopływów, podniesienie żywotności stawów oraz pożywności produkcyjnej flory i fauny. Zbadanie pokarmów sztucznych pod względem intenzywnej ich pożywności, z obliczeniem, ile jednostka pokarmowa powinna dać przyrostu żywej wagi. Badania chemiczne, analityczne i mikroskopowe różnych niewidzialnych dla oka bakteryj czy pasorzytów, niszczących stawiska, oraz wszelkich innych chorób epidemicznych i sporadycznych, z wykazaniem przyczyn ich powstania i środków zaradczych. Wreszcie stacya taka miałaby mnóstwo innych zadań, na razie nieprzewidzianych. Musi ona powstać w pobliżu Warszawy, zdobyć się choćby na mały tymczasem zakład rybny do robienia doświadczeń praktycznych. Wreszcie musi mieć odpowiednią pracownię i inne niezbędne urządzenia. Kierownikiem powinien być przyrodnik, wykształcony teoretycznie i praktycznie, obeznany gruntownie z ichtyologią. Nadto należy stworzyć komisyę biegłych, złożoną również z fachowców gruntownie wykształconych. Rozpatrywałaby ona wyniki doświadczeń i byłaby pośrednikiem między stacyą a ogółem hodowców. Stacya taka jest nietylko bardzo doniosła dla przemysłu rybnego, ale i pilna. W ostatnich bowiem czasach zaczynają się szerzyć klęski których przyczyna dotąd nie jest wcale zbadana. U jednego z wybitnych hodowców, p. Mazarakiego, zapanowała straszna śmiertelność ryb, której przyczyny nie mógł ani zbadać, ani orzec nawet dr. Fiszer, profesor akademii Jagiellońskiej, sprowadzony umyślnie z Krakowa. W rezultacie p. Masaraki poniósł olbrzymie straty. Podobny fakt zauważył także u siebie p. Juszyński w Długiej Kościelnej: Zarybek po wytarciu się zupełnie prawidłowem i wylęgnięciu w tarliskach, po przepuszczeniu go z wodą do pierwszego stawu przesadkowego, przepadł zupełnie bez śladu. Okazuje się więc, iż tak doniosła gałąź hodowli nie zdobyła jeszcze tylu niezbędnych wskazówek naukowych, ażeby

się mogła niemi posługiwać przynajmniej w chwilach krytycznych. Bakteryologia pod względem ściśle naukowym jeszcze nie znalazła zastosowania w hodowli ryb, wszelkie zaś inne badania dorywcze i długoletnie hodowców pojedynczych nie mają podstaw pewnych, uzasadnionych naukowo i nie przynoszą korzyści ogółowi. Tem bardziej więc zasługuje na gorące poparcie projekt p. Juszyńskiego. Ale, niestety, tam gdzie chodzi o pieniądze, najpożyteczniejszy i najdomyślniejszy projekt napotyka przeciwników. Tym razem oprócz tego charakterystycznego zjawiska, występuje jeszcze inne: brak szerokiego widnokręgu ekonomicznego w pojęciach hodowców ryb. W żadnej gałęzi przemysłu, posiadającej ster zorganizowany, nie wystąpiła tak silnie zastarzała zaściankowość, jak na pierwszem posiedzeniu Towarzystwa rybackiego. Wielu praktyków-rutynistów wyraziło się z niedowierzaniem i lekceważeniem co do potrzeby nauki w hodowli ryb. Ignorancya tego rodzaju jeszcze jaskrawiej się ujawniła, gdy zaproponowano kwestyonaryusz, któryby wyjaśnił stan przemysłu i handlu rybnego u nas. Niektórzy wprost oświadczyli, że zebranie tych danych wcale nie jest potrzebne, że one miałyby wartość tylko statystyczną, dla nich niepojętą. Wolą oni chodzić po dotychczasowych ścieżkach wąziutkich, prowadzących tylko do rynków najbliższych, po za którymi kończy się cały ich świat ekonomiczny. Byli tacy, którzy wprost potępili kwestyonaryusz, utrzymując z góry, że jest to praca niewykonalna.

Tak więc p. Juszyński trafił na grunt bardzo surowy, którego przygotowanie niezbyt będzie łatwe. Projektodawca twierdzi, że 1 kop. od puda produkcyi ryb wystarczy na założenie i utrzymanie stacyi doświadczalnej. Ale panowie hodowcy nie chcą wiedzieć, ile ogółem produkują ryb. Chcąc zaś zabezpieczyć swoje kieszenie, chwycili się mocno napomknienia o zapomodze ministeryalnej i radzą, ażeby z pominięciem ich trzosa, zwrócić się wyłącznie o fundusz do ministeryum.

P. St. Juszyński jednak zrobił, co mógł: zasiał ziarno na gruncie suchym i twardym. Czy ono wzejdzie? Miejmy nadzieję, że gdy się Towarzystwo rozwinie, gdy przyciągnie większą liczbę członków, może się znajdzie sporo hodowców z jaśniejszym poglądem, szerszym widnokręgiem pojęć ekonomicznych i większą zdolnością odczuwania potrzeb ogólnych, po za brzegami własnych stawów i wód dzikich.

O SZTUCE I NIE-SZTUCE.

(Luźne uwagi profana).

„...Sieht man vom Markt in die Kirche hinein,
So ist alles dunkel und düster.
Und so sieht's auch Herr Philister!"

Goethe.

I.

Nie Bartki Asnykowscy, nie Wojtki i nie Kasie podnoszą zgiełk i wrzawę, narzekając na pasibrzuchów Parnasu, nie gmin burzy się i nie czeladź z przekupkami żądają od wieszczów wykazania przynoszonych społeczeństwu korzyści. Ciągnie orszak inny, z pogardą dla wszelkiego utylitaryzmu i każdego celu społecznego, z okrzykiem: „sztuka tylko dla sztuki!" Tworzeniu nie powinny przyświecać żadne cele, prócz przyjemności, towarzyszącej twórczemu dreszczowi! Spazm nerwowy ma być jedynem dążeniem „wieszcza," wszelkie inne dodatki tylko plugawią sztukę i poniżają.

Posłuchajmy proroków nowej wiary:

„...Więc słuchajcie, o szlachetni sędziowie! — jeden z nich się odzywa. Wy traktujecie literaturę tak, jak kucharka ogród botaniczny. Ona tam szuka przedewszystkiem swego programu: kalarepki, pomidorów, czarnej rzepy, głąbików.

„Programy niech tworzą ludzie co chcą działać. My tego wcale nie zamierzamy. Owszem, piszemy właśnie dla tego, aby nie działać. Literatura, to Pani nasza, Orędowniczka nasza, Pocieszycielka nasza, której my grzeszni wołamy z głębokości naszych pragnień i smutków. Rzucamy myśli i formy tak, jak przypływ morza rzuca na brzeg ryby, muszle, meduzy, topielców... — wy zaś róbcie tak, jak robią rybacy: bierzcie z tego dla siebie co jadalne, a co niejadalne, poniechajcie. A jeśli natraficie na zwłoki topielca, to nie naigrawajcie się z jego nagości, jak czynią ludzie głupi, ale zdejmcie czapkę z głowy i oddajcie szacunek jego niedoli. Utonął, bo płynął po głębi — wam się to nie przytrafi, wy nie odpływacie od brzegu!

„Tej, (tj. współczesnej duszy) chcemy dać wyraz w sztuce choćby w opozycyi do całego starszego pokolenia. Jest to zresztą jedyna forma naszej opozycyi. Wszystkie inne pola pozostawiamy wam w spokojnej i intratnej dzierżawie — w sztuce jedynie domagamy się swobody. Niema bowiem prawdziwej, wielkiej sztuki bez swobodnego przejawu indywidualności — wszelka inna sztuka, tworzona dla ogółu, jest przemysłem artystycznym. Jeśli pomiędzy twórcą a społeczeństwem istnieje harmonia, wówczas powstają arcydzieła, które entuzyazmują cały naród jedną wspólną myślą, jednem wspólnem więc bohaterskiem uczuciem. Ale taka twórczość nie jest kwestyą wolnej woli, lecz produktem epoki, która powtarza się rzadko."

„...Sztuka w naszem pojęciu—pisze inny z zwiastunów nowej, choć bardzo starej prawdy — jest odtworzeniem życia duszy we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre lub złe, brzydkie lub piękne.

„Sztuka nie zna przypadkowego rozklasyfikowania objawów duszy na dobre lub złe, nie zna żadnych zasad czy to moralnych, czy społecznych. Dla artysty w naszem pojęciu są wszelkie przejawy duszy równomierne, nie zapatruje on się na ich wartość przypadkową, nie liczy się z ich przypadkowem złem lub dobrem oddziaływaniem, czy to na człowieka lub społeczeństwo, tylko odważa je wedle potęgi, z jaką się przejawiają.

„A więc substrat naszej sztuki istnieje dla nas jedynie ze strony swej energii, zupełnie niezależnie od tego, czy jest dobrem lub złem, pięknem czy brzydotą, czystością czy harmonią, rozpasaniem, zbrodnią czy cnotą.

„Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu — duszy.

„A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiejkolwiek idei, jest panią, prażródłem, z którego całe życie się wyłoniło.

„Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka-rozrywka, sztuka-patryotyzm, sztuka, mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką, a staje się *biblia pauperum* dla ludzi, którzy nie umieją myśleć lub są zbyt mało wykształceni, by módz przeczytać odnośne podręczniki — a dla takich ludzi potrzebni są nauczyciele wędrowni, a nie sztuka.

„Działać na społeczeństwo pouczająco albo moralnie, rozbudzać w niem społeczne instynkta za pomocą sztuki znaczy poniżać ją, spychać z wyżyn absolutu do nędznej przypadkowości życia, a artysta, który to robi, niegodny jest miana artysty.

„Nie znamy żadnych praw, ani moralnych, ani społecznych; nie znamy żadnych względów, każdy przejaw duszy jest dla nas czystym, świętym, głębią i tajemnicą, skoro jest potężny!"

Zastępy ciągną z takiemi hasłami. Wzięliśmy na razie głosy swojskie, ale zdołalibyśmy także przytoczyć pochodzące i z obczyzny. Idą artyści pióra, pędzla, dłuta, zmieszani w tłumie. Uczestniczą różne natury, zdrowe i chore, nawet bardzo chore, powykoszlawiane przez histeryę i nerwicę, przez zwyrodnienie i nadużycia. Dolatują stamtąd głosy także różne, niektore z nich rażą moje ucho swojem wyuzdaniem lub nienaturalnością. Ciągną najrozmaitszego znaku moderniści, symboliści, dekadenci, szermierze „nagiej duszy," mistycy, „esteci" i jeszcze inni, bo któż zliczy te luźne grona pod odmiennemi nazwami, których jest legion!... Chore to i zdrowe; wie, czego chce i nieświadome własnych zamiarów; szczere, otwarte i komedyanckie, pragnące poklasku chociażby za cenę błazeństw i pajacowstwa; nieraz spazmatycznie wykrzywione w konwulsyach jaźni swojej, niekiedy pogodne duchem. I cała gromada na różne tony i różnemi słowy powtarza to samo: sztuka tylko dla siebie samej jest i powinna być celem!

Ale z jakichkolwiek żywiołów składa się ów orszak i jakiekolwiek głosy nas stamtąd dochodzą, czołem przed idącą gromadą, nawet po dwakroć czołem.

Niesie ona z sobą dwa wielkie hasła: żądanie swobody dla dreszczu, co tworzy, oraz żądanie głosu dla bólów duszy ludzkiej.

Swobody dla dreszczu co tworzy!

Ze wszystkich dziedzin ducha sztuka jest najbardziej indywidualną, to znaczy, że jest najniesforniejszą i najbardziej kapryśną. Nie znosi na sobie żadnego wędzidła: ani tendencyjności, ani przepisów techniki, ani wreszcie zakazów. Akt twórczy wydobywa z bezwiednych pokładów jaźni naszej myśli i formy, jak wody oceanów rzucają na brzeg ryby, muszle, meduzy, zielsko i topielców, nie patrzy, czy płód jego spazmów będzie pożyteczny komuś, tylko czy sprawia on przyjemność samemu artyście, czy podczas porodu dusza jego jest wzruszoną i przejętą. „Wieszcz" rodzi, bo musi rodzić, czy zaś wyda garbuska i potwór, czy zdrowe stworzenie, nie od niego zależy. Płodu jego możemy nie przyjąć, ale powinniśmy dać mu swobodę twórczą i nie pętać jej receptami i przepisami. I nasuwa mi się na myśl uroczy obrazek Konopnickiej o wyroku efora spartańskiego, który kazał na słupie wzgardy zawiesić nową dziesięciostruną lirę, kiedy w Sparcie dotychczas używano tylko czterostrunnej. Na rynku w Skias zajadle lud się tłoczy, na smagłe lica bucha gniew i oczy jak żagwie płoną. Rąk wyciągniętych cały las drga wściekłem uniesieniem, a krzyki, klątwy, wzgardy śmiech lecą powietrzem spiekłem. Jak w górach wicher drzewa gnie, tak ludzkie gną się szyje! A po nad mrowiem z góry słońce świeci i rzuca swój złoty promień na słup wkopany w piasku i na kołyszącą się cytrę dziesięciostrunną. Dawniej było dosyć czterech strun na wszystkie sprawy życia i na wszystkie dusz ludzkich drgania od powicia do trumny, a teraz Tymon ośmielił się przynieść cytarę z dziesięciu strun złożoną...

„...Kto wie do czego nowa pieśń
Na nowych strunach służy?
Odmawia może bogom czci?
Obyczaj dawny burzy?"

Odrazu więc lepiej zniszczyć złe, tę obcą, podejrzaną lirę! I pada kamień na zawieszoną pod pręgierzem cytarę i ślina wzgar-

dy lwi na cichą bezbronną gęśl, co drży i w słońcu świeci. Lecz Tymon rozdziera tłum i śmiało podchodzi pod słup i pod nim śmiało podnosi czoło:

...Mówicie, czterech strun mam dość
By piać ku bogów chwale?
A któż to pieśni wzbronił rość
Jak rosną morza fale.

...Kto mi tajemnych duszy drgnień
Śmie liczbę trzymać w ręku?
Kto może wiedzieć, ile tchnień,
Ile mam w piersi jęku.. "

Jeszcze raz więc swobody dla spazmu porodowego twórczości, a przed tymi, kto ma odwagę wypowiedzieć śmiało to żądanie i nie cofa się przed wyraźnem postawieniem kwestyi pomimo oburzenia filistrów i strażaków podwawelskich, przed tymi czołem!

I czołem przed innem hasłem: żądaniem głosu dla wszelkich bólów, dla wszelkich konwulsyj ducha.

„Czyś kiedy zawył z bólu, czytelniku-filistrze? — dolatuje nas bolesne zapytanie z pośród idącego orszaku. Zawył tak, jak psy wyją. Czy ty wiesz wogóle, co to ból? Wyrywali ci zęby— powiadasz. A nie wyrywali ci nic z duszy? Tak brutalnie, poprostu, jak się wyrywa z ziemi młode drzewka i wyrzuca za mur. Nie? To szkoda. Nie wszystko możesz czytać i rozumieć; nie ze wszystkiem zgodzisz się ze mną!" Czy rozumiesz, czytelniku, przyzwyczajony do tonów miękich, a w każdym razie niepsujących ci trawienia i spokoju, zbalamucony przez trefnisiów pióra, którzy biorą za to pieniądze, ażeby cię bawili, czego ci ludzie żądają od ciebie? Chcą wyć z bólu przed tobą, chcą nie rozweselać ciebie, ale wpakować ci do uszu opowieść o swoich cierpieniach i katuszach duchowych! Nie chcą twojego chleba i pieniędzy, lecz domagają się twojej uwagi. Są oni jako ów muzyk w nowelce Kiellanda, co, zaproszony do pianina, po wykwintnej uczcie zmącił sytym współbiesiadnikom wczasy swoją sonatą głodnych—z tą różnicą, iż nasz orszak zawodzi pieśń nie o nienakarmionych, tylko o własnej nędzy ducha. I dajmy swobodę tym głosom i jękom, niech podnoszą się i napełniają ziemię, niech z pod pióra i pędzla wychodzi to, co jest dobrem w jaźni naszej i co jest złem i pokoszlawionem chorobliwie, co rości prawo do nazwy piękna i co jest wcieleniem brzydoty. Wolności dla spazmu wszelkich tajników duszy, dla wszelkich szlochań i bólów, miotań i konwulsyj, łaknień i pożądań! Może wyjdą na jaw potwory wewnętrzne— na słońce i swobodę i może wyprowadzone z ukrycia ulżą przyszłym pokoleniom ciężaru życia, może zmniejszą krzywdy, zadane człowiekowi przez człowieka w codziennym zamęcie życia!

Nordau przed kilku laty pisał o prądach, których rozpatrzeniem zamierzam się zająć. Wspominam o tem tylko po to, ażeby zaznaczyć, iż nic nie mam wspólnego z tym filistrem rozpuszczonego języka i powierzchownej frazeologii. I dzisiaj mógłbym o nim powtórzyć to samo, co kiedyś pisałem w szpaltach *Prawdy*. Każdy z czytelników spotkał w życiu salonowem tłuścioszka, lubiącego dużo a górnolotnie rozprawiać w tonie rozsądnym a upstrzonym pozorami wiedzy. Siedzi w fotelu wygodnie, mówi mądrze — arcymądrze, potoczyście a rozsądnie, niekiedy wtrąci dowcip radykalny, tak wolnomyślny, iż stare ciotki i młode gąski, spodziewające się, iż po skonie także zatrzymają skrzydła, wyrażają swe zdziwienie i zgrozę lękliwym okrzykiem, w którym jest i sporo oburzenia i dużo uwielbienia. Tłuścioch obrabia narwańców: zaczął od podstarzałej filantropki i wykazał, że próżność stanowi jedyną sprężynę jej krzątania się, dodając dobrodusznie, że ambicya jest wadą wszystkich filantropów; później jął się rozczochranego wierszokletу i długo rozwodzi się nad narowami ofiary, w końcu przechodzi do starej panny i żartuje z jej przywiązania do mopsika, przeplatając opowiadanie dwuznacznymi żartami. Krytyka płynie z ust urozmaicona ruchami palców, na których połyska pierścionek z drogimi kamieniami, zaprawiona solą zdawkowego dowcipu i jeszcze obficiej wolteryanizmu episierskiego, oraz paradoksami, zewsząd zebranymi. Słuchasz rozsądnych a dowcipnych wywodów i zaczynasz czuć, jak coś wewnątrz burzy się. Wiesz dobrze, że ów rozczochrany wierszokleta jest nadętem zerem, ale gotów jesteś go wycałować; nawet ręka twoja pogłaskałaby obrzydliwą psinę starej panny, ażeby zaprotestować. Prawdopodobnie szturgnąłbym nieraz histeryków w literaturze, ale na widok tego,jak arcykapłani zarozumiałości mieszczańskiej pastwią się nad tą gromadą schorzałą, nieraz zgłodniałą a zawsze łaknącą jakiegoś ludzkiego słowa, instynktowo bierze stronę zdenerwowanych, nawet zwyrodniałych wielkości. Wobec szczebiotu—tak! blagierskiego szczebiotu zadowolonego wszechfilozofa szczere majaczenia Nietzschego, namiętne manekiny Wilde'a, nieobłudny grzech urodzonego włóczęgi Verlaine'a pociągają mnie ku sobie jak kwiaty nie z gałganka skrojone w fabryce, ale rosnące na łące, może bagnistej, jednak łące.

Ilekroć będę miał przed sobą napastników w rodzaju wspomnianego mędrca-filistra lub podwawelskich arcykapłanów, rzucających anatemy, zawsze stanę w jednym orszaku z napastowanymi. Mój rachunek z nimi jest rachunkiem odmiennym — tylko moim własnym!

K. R. Żywicki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Handel ziemią.

W pismach i opinii odzywa się coraz głośniej wiadomość, zapisana nawet przez organ urzędowy, że ceny ziemi w kraju naszym szybko się podnoszą. Nie mówimy tu naturalnie o tranzakcyach wyjątkowych, o sprzedażach podmiejskich, gdzie (np. Mokotów) obszar nabyty za 420,000 rb., wkrótce zostaje sprzedany za 4 miliony (po 4 rb. łokieć) lub o przestrzeniach kupowanych na fabryki (Towarzystwo Rudzkiego zapłaciło podobno za włókę pod Nowomińskiem 30,000 rb.), ale mamy na myśli zwyczajne nabywanie folwarków i większych dóbr na użytek rolny. Cena 4 tysiące rubli jest już dziś powszednią nawet w gruntach średniej wartości. Przyczyna tego ruchu leży po części w korzystniejszych warunkach rynku zbożowego, po części w spekulacyi. Kapitał, wypłoszony niską stopą procentową z papierów publicznych, ograniczony w swych operacyach ustaleniem kursu rubla, skrępowaniem gry giełdowej, ochroną lasów itd., szuka innych pól zysku i zaczyna coraz bardziej zwracać się do majątków ziemskich, które w przeważnej części parceluje z dobrym zarobkiem. Prawdopodobnie handel ten rozwinie się w szerokich rozmiarach, a ponieważ on nie może wyjść po za granice rzeczywistej wartości swego przedmiotu i wpaść w hazard, ponieważ społecznym jego skutkiem będzie przesunięcie się większych obszarów ziemi w ręce naszego ludu, więc dotychczas przynajmniej nie grozi on nam żadnem niebezpieczeństwem.

Kantory stręczeń pracy.

Ktoś, oskubany i zawiedziony przez kantor stręczenia posad, ostrzega łatwowiernych w *Gazecie świątecznej*, ażeby nie ufali tym zakładom. Stara to historya, która ciągle pozostaje nową a nie przestanie się powtarzać, dopóki istnieć będą takie pułapki. Każda z nich jest przedsiębiorstwem spekulacyjnem, obliczonem na wyzyskanie poszukujących pracy i nabywających ją. Ponieważ zaś pierwszych jest zawsze daleko więcej, zatem ofiarą wyzysku padają głównie pierwsi — ludzie biedni, oddający kantorowi ostatnie grosze lub u lichwiarzów zaciągnięte pożyczki. Ale co począć? Czy znieść zupełnie podobne kantory? Bezwarunkowo. Biura, pośredniczące w sprzedaży-kupnie pracy, wtedy tylko mogą uczciwie i pożytecznie spełnić swoje zadanie, gdy są instytucyami społecznemi, a nie prywatnemi. Jeżeli one powstały lub powstaną przy towarzystwach handlowych, Ogrodniczem, Muzycznem, Rybackiem, popierania przemysłu i handlu itd., to możemy mieć rękojmię, że służyć będą interesantom rzetelnie. Ale jako gszeffty będą zawsze ogniskiem nadużyć. Znamy dobrze działalność kantorów stręczących mamki, nauczycieli itd., wiemy, jakie tam praktykuje się zdziRstwo. Jeszcze gorzej dzieje się w zakładach wyrabiających za opłatą „posady." Ich właściciele nie są bynajmniej ludźmi tak ustosunkowanymi, ażeby oni mogli dla swych klientów zdobywać urzędy i zajęcia; ich obietnice, słowne i ogłoszeniowe, są niesumienną blagą, której skutków doświadczył każdy z ufających. Po co więc takie pułapki mają istnieć?

Najwięksi.

Niemcy dla trzech znakomitych fortepianistów wymyślili trzy określenia: *der erste* (pierwszy) - Liszt, *der grösste* (największy)— Rubinstein, *der unfehlbare* (nieomylny) — Bühlow. Nasi krytycy nie mogą się zdobyć nawet na taką klasyfikacyę i kolejno nazywają: pierwszym, największym i nieomylnym każdego, który w danej chwili koncertuje. Był czas, kiedy wszystkie te epitety, zwłaszcza co do Chopina, przyznano Śliwińskiemu, potem otrzymał je Paderewski, teraz — Michałowski. Jaka między nimi zachodzi różnica — nikt z najmądrzejszych sprawozdań nie odgadnie: zrozumie tylko, że najbardziej chwalonem jest to sitko, które wisi na kołku. Ponieważ Paderewskiemu wysypano pod stopy kosze kwiatów, a on już odjechał do Londynu, więc obecnie zaczęło się strojenie tymi samymi kwiatami Michałowskiego, który wrócił z zagranicy. „Nikt tak nie zagra Chopina, jak Śliwiński!" — „Nikt tak nie zagra Chopina, jak Paderewski!" — „Nikt tak nie zagra Chopina, jak Michałowski." Świadkowie tych krytycznych zachwytów stoją osłupieni i pytają: „Ale któryż z nich, u licha, gra najlepiej Chopina? Który jest najznakomitszym fortepianistą?" Nie pytajcie lube dziateczki, bo wam żaden z przysięgłych sądu muzycznego nie odpowie. A gdyby chciał być szczerym, odrzekłby: zebyście mnie zabili, nie wiem. Trzeba więc zgodzić się z tą dziwną prawdą niematematyczną, że każda z trzech wielkości nierównych jest od dwu innych większą.

„Bzik polski."

Czy nie za dużo tego „bzika" w pismach warszawskich? Od paru tygodni nie ustępuje on z nich, a jest obnoszony z takiem nabożeństwem, jak ewangelia. Winnismy czytelnikom naszym objaśnić, że jeden z redaktorów niemieckich, Prusak rzetelny, nazwiskiem Wagner, wydał broszurę p. t. „Polenkoler," w której dowodzi, że szerzone tendencyjnie wiadomości o mniemanym ucisku Niemców przez Polaków w Poznańskiem są wierutnym fałszem i że hakatyści zaszczepili w swym naro-

dzie „Polenkoler.“ Bogowie, powiedzcie, co w tem jest nowego i kto o tem nie był przekonany, nie wyłączając samych ojców hakatyzmu? Niemcy mają w sobie dużo okrucieństwa, ale jednocześnie posiadają tyle rozumu, że nie wierzą, ażeby grudka gliny, leżąca pod wielkim kamieniem, mogła go uciskać. Jeżeli zaś tak twierdzą, to dlatego, że czują potrzebę pomalowania swych czynów pozorami słuszności, która bez tego przyboru wyglądałaby zbyt surowo i odrażająco. I tu zachodzi zrozumiałe dla wszystkich „konwencyonalne kłamstwo,“ któremu się nie wierzy, ale którego się używa dla celów praktycznych. Ów Wagner zatem nie wykrył prawdy nieznanej, ale odsłonił znaną — i tem wywołał zgrozę śród swoich ziomków. Wywołałby on podobną, gdyby np. zdarł ubranie z Hagemana, Kenemana i Tiedemana, obnażywszy ich publicznie. Zarówno ta trójca hakatyzmu, jak jej rodacy wiedzą doskonale, że ona nie składa się z Antinousów, a jednakże nie zgodziliby się, ażeby ich ktoś gwałtem rozebrał na scenie wobec pełnego teatru. Należy więc umiarkować nasze zdziwienie, a nadewszystko wdzięczność dla obrońcy, który zresztą wystąpił w kaftanie germańskiego Michela, a polskiemu Maćkowi nagadał przytem dużo grubych słówek.

Kto daje składki?

Byłoby to niezmiernie ciekawem i pouczającem, gdybyśmy mogli statystyką rozwiązać pytanie: kto u nas składa ofiary społeczne? O ile wnosić można z obserwacyi, która utrwala nam w pamięci nietylko pewne żywioły, ale nawet pewne nazwiska, zdaje się, że w całym naszym kraju trudno byłoby zliczyć więcej, niż 2,000 osób, opodatkowujących się dobrowolnie na cele użyteczności publicznej. Należą zaś tu: w części bogate i średnio zamożne mieszczaństwo, oraz rozmaite postacie inteligencyi i to przeważnie w Warszawie. Klasy najbogatsze nie przyjmują prawie żadnego udziału, mniejsze miasta bardzo słaby, a wsie — jeszcze mniejszy. Przypuszczalny stosunek różnicy jest tak wielki, że można przyjąć, iż np. adwokat lub lekarz oddaje przeciętnie 1% dochodu na składki filantropijne, a przemysłowiec $^{1}/_{10}$%, biedna nauczycielka 3%, a bogata dama — $^{1}/_{100}$%. A może stosunek ten jest jeszcze bardziej rażącym. Kogo ta sprawa zajmuje, niech śledzi wpływ ofiar na sanatoryum dla suchotników.

BADANIA NAUKOWE

HISTORYA.

***

Alfred Odrowąż Sypniewski: *Dzieje czasów najnowszych, od r. 1815 do dni naszych.* Petersburg, 1899.— K. Seignobos: *Dzieje polityczne Europy współczesnej.* Warszawa, 1899.

Drugie w ciągu roku wydanie „Dziejów czasów najnowszych“ Alfreda Odrowąża Sypniewskiego, napisanych pierwotnie po niemiecku i przetłomaczonych na język polski przez Kazimierza Króla, świadczy wymownie, że edycya pierwsza wyczerpaną została pod urokiem chyba dobrze brzmiącego imienia autora i tytułu książki, rzecz bowiem sama jest tak pobieżną, iż trudno odgadnąć, jakiej mianowicie potrzebie mogłaby odpowiadać i czyje pragnienie lub czyj głód umysłowy zaspakajać. Jest to gatunek luźnych notat i notatek ze starych gazet, powiązanych z sobą chronologicznie, bez najmniejszej spójni wewnętrznej.

„Po śmierci Aleksandra II wstąpił na tron rosyjski syn jego Aleksander III, który dotychczas nie uchodził za przyjaciela Niemiec; jednakże ogólny stan rzeczy nakazywał Cesarzowi Aleksandrowi powściągliwość i dlatego też złożył on Wilhelmowi d. 9 września 1881 r. wizytę w Gdańsku... Po długoletnim zatargu z kościołem nastąpiło w r. 1882 zbliżenie Niemiec do Stolicy Apostolskiej przez przywrócenie przy niej poselstwa... W d. 28 września 1883 odbyło się w Niederwaldzie poświęcenie kolosalnego pomnika narodowego, jako widomego znaku odrodzenia państwa niemieckiego... W czerwcu 1886 umarł król bawarski Ludwik II, a królem został ogłoszony brat jego Otton, a ponieważ i on, jak jego poprzednik, był chorym, rządy państwa objął książę Luitpold, jako najstarszy w rodzinie królewskiej... W d. 22 marca 1887 cesarz Wilhelm w obecności 84 osób z domów panujących i przy najserdeczniejszym udziale swego narodu i całej Europy obchodził 90-tą rocznicę swoich urodzin... Cesarz Wilhelm umarł 9 marca 1888 r., skutkiem zaziębienia.“

Wszystko to razem zajęło autorowi dwie stronice (194—195). Wypadkom 1830—1831 roku poświęcono o pół stronicy więcej (23—25) — trzeba zaś przypuszczać, dla honoru tłomacza i wydawcy, że zupełny tym razem brak sensu w zwięzłości spada wyłącznie na drukarnię. „Po bitwie pod Grochowem Polacy cofnęli się na Pragę. Naczelnym wodzem został wtedy Skrzynecki. Ponieważ powstanie objęło już wszystkie części Królestwa Polskiego, położenie więc Dybicza było groźne: na tyłach zagrażało mu powstanie na Litwie. Ale kierownicy powstania nie poparli ruchów litewskich. Generał Dwernicki próbował poruszyć Wołyń, ale nie znalazłszy tam odpowiedniego gruntu, musiał przejść granicę austryacką i został rozbrojony w 6,000 żołnierza. Taki obrót rzeczy zmusił Skrzyneckiego cofać się z za Bugu...“ Cofać się? A kiedyż i jak Skrzynecki dostał się tam, za ten Bug?

Oblężenie Sebastopola opisane dokładnie, jak gdyby z dykcyonarza wojskowego. Autor próbuje nawet krytyki strategicznej: „Ze strony Rosyi byłoby najmądrzejszą rzeczą posunąć się szybko ku Bałkanom i tym sposobem energicznem uderzeniem zapobiedz wdaniu się państw zachodnich“ (89). „Bliższe zastanowienie się nad pamiętnem oblężeniem Sebastopola okazuje wyraźnie słabe strony w prowadzeniu wojny ze strony Francyi... Przy rozumnej taktyce ze strony sprzymierzonych byłoby później rzeczą łatwą zaraz w pierwszej chwili pokonać źle uzbrojoną armię rosyjską w Krymie... Tymczasem St. Arnaud wybrał dogodny dla Rosyan punkt do ataku na bardzo uciążliwym dla jego wojsk terenie, a pod Almą nie doznał niepowodzenia dzięki jedynie bierności Rosyan... Droga do Sebastopola stała wtedy otworem... A jednak Francuzi przeszli koło twierdzy z prawdziwie francuską lekkomyślnością i bez zachowania należytych środków ostrożności, tak iż o mało co nie zetknęli się z wojskiem rosyjskiem, wysuniętem ku wschodowi“ (102). Rządy obecnie panującego Wilhelma II-go opisane na pięciu stronicach, przyczem większe wypadki otrzymały po dwa wiersze, malutkie po dwadzieścia. „Wkrótce po wstąpieniu na tron młody monarcha złożył wizyty panującym, a potem przyjmował u siebie króla Humberta, cesarza Franciszka Józefa I i w następnym roku Cesarza Aleksandra III. W d. 20 marca 1890 r. książę Bismarck ustąpił ze swego wysokiego stanowiska; przyczyną tego była różnica wieku, charakterów i poglądów na kwestyę socyalną między nim i cesarzem; kanclerzem państwa został mianowany generał Caprivi... Wilhelm II przedsiębrał w początkach swego panowania wielkie podróże po Niemczech...“ I tyle o sławnym przed dziesięciu laty „nowym kursie“; za to podboje kapitana Wissmanna opowiedziane zostały niemal własnemi słowami jego raportów do admiralicyi. W d. 8 maja 1889 zdobył on położony w pobliżu Bagomaja oszańcowany obóz przywódcy powstańców afrykańskich, Buszirego, zajął Saadoni, Pangoni, Tangę, wtargnął do wnętrza Afryki wschodniej, dotarł w październiku do Wywasswa, uśmierzył rokosze w prowincyach Usambara, doszedł aż do Kilimandżaro, podbił Kliwa, Lindi, Mikindani, zabrał Buszirego do niewoli, a połączywszy się z Eminem baszą, zajął Uniamwesi, zyskał punkt oparcia do dalszych wypraw itd. (199).

Fetyszyzm gołego faktu obok ubóstwa poglądów ogólnych rozbija i rozsprzęga w wykładzie nawet tę nić związku, jaką nam autor podaje w nagłówkach rozdziałów książki. Rozdział pierwszy, od r. 1815 do 1848, obiecuje nam historyę świętego przymierza i reakcyi porewolucyjnej; rozdział drugi, od 1848 do 1859, zapowiada rewolucyę; rozdział trzeci, od wojny włoskiej 1859 do wojny japońsko-chińskiej 1894—5 zwiastuje walkę o zjednoczenie narodowości. Planimetrya niezła — ale ani tych walk, ani tych rewolucyj, ani tej reakcyi nie widzimy w chaotycznej klejonce zdarzeń rozmaitego kalibru o perspektywie niemal chińskiej, tj. takiej, w której panowanie Napoleona III i olbrzymie skutki polityki drugiego Cesarstwa zaledwie dorastają do miary kolonizacyjnych widoków Wilhelma II w Afryce. Bezbarwne i monotonne to reporterstwo, nękające nas od pierwszej do ostatniej stronicy, tryska dopiero w epilogu „Dziejów“ p. Odrowąża Sypniewskiego. „Nakreśliliśmy — powiada on — obraz wydarzeń w najświeższym okresie dziejów... Aż nadto często przedstawia nam nasza część świata smutny i posępny widok. Tu rozdzierają narody własną ręką swe łono; owdzie uderzają na siebie wielkie państwa.

Ale z tego ponurego tła przebłyskują jasne barwy. Narody współzawodniczą z sobą nietylko na polu krwawych starć, lecz i w dziedzinie pokoju, nietylko przy dzikim, ogłuszającym huku dział, lecz i w spokojnej pracy. Ożywia je wszystkie jeden duch — dążenie do rozwoju społecznego na podstawie najszczytniejszych uczuć ludzkich i godnych człowieka form życia obywatelskiego...“ Bardzo dobrze — ale dlaczego o tych formach, o tej pracy, o tym duchu ożywiającym nie znajdujemy ani jednego słowa, ani jednej okolicznościowej wzmianki w faktycznem przedstawieniu najnowszych dziejów?..

Podejrzewamy p. Sypniewskiego, że w kwestyi tej zawczasu porozumiał się chyba z p. K. Seignobosem, lektorem uniwersytetu paryskiego, bowiem p. Seignobos w pracy swej p. t. „Dzieje polityczne Europy współczesnej,“ przetłomaczonej i wydanej nakładem *Głosu*, najpunktualniej porusza te właśnie zagadnienia — i wyłącznie te, które milczeniem pominięte zostały w „Dziejach czasów najnowszych“ p. Sypniewskiego. Wyszedłszy z tej samej co i p. Sypniewski daty 1814 r. — jako daty „powszechnej restauracyi dawnych rządów Europy,“ autor francuski zamierzył objaśnić, wytłomaczyć, zdać sobie sprawę z politycznych przeobrażeń Europy tegoczesnej w okresie ostatnich lat osiemdziesięciu (do r. 1896). Wyznaje w przedmowie, że nie stać go było na obraz całkowitej cywilizacyi europejskiej w tym okresie — poprzestał zatem na historyi politycznej. Zajęty przedewszystkiem pewnikiem, że zarówno artystyczne uwydatnienie, jak i naukowe wyświetlenie zjawisk zasadza się na wykryciu zachodzącej między niemi łączności i pokazaniu wzajemnego ich na siebie oddziaływania, autor pominął w swej pracy te zakresy życia społecznego, które nie wpływają wprost i bezpośrednio na życie polityczne — jak sztuka, umiejętności ścisłe, mody, obyczaje do-

mowe, religia itd. Ponieważ chodziło mu na pierwszem miejscu o wyświetlenie powstawania, składu, taktyki i programów stronnictw politycznych, jako faktów najprzedniejszych, stanowiących o losie urządzeń, przeto — wyłączywszy jeden, dalszy szereg zjawisk postronnych, tem dokładniej i baczniej zająć się musiał szeregiem zjawisk bliższych, bliżej oddziaływających na politykę, jak np. sprawy zarządu miejscowego, wojsko, wychowanie publiczne i prywatne, czasopiśmiennictwo, ustrój ekonomiczny, ustawy normujące stosunek kościoła do państwa itd.

Punktem wyjścia dla dochodzeń określonych w powyższy sposób są uchwały kongresu wiedeńskiego, rozrządzającego wielką spuścizną Rewolucyi z końca XVIII w. i wojen napoleońskich. Terytoryalnie spuścizna ta obejmowała wszystkie lądowe państwa Europy zachodniej i środkowej — moralnie i ideowo sięgnął znacznie dalej: po za obrębem władzy Napoleona—nie zaspo za obrębem wpływów pokonanego w latach 1812—14 wstrząśnienia, pozostawały tylko kresy europejskie: Anglia, Rosya, powstańcy hiszpańscy, Turcya. Kongres wiedeński miał przed sobą dwa zadania do spełnienia: podzielić ziemie odebrane Francyi i państwom utworzonym przez Napoleona (Belgię, Holandyę, lewy brzeg Renu, Włochy, Niemcy, Wielkie Księstwo Warszawskie), oraz założyć na gruzach obalonego porządku rzeczy podwaliny jakiegokolwiek nowego prawa międzynarodowego. Z zadania tego dyplomaci kongresowi wywiązali się w sposób mieszany, niejednorodny. Nie wrócono ani do granic, ani do zasad z przed r. 1789. Przy podziale krajów miano głównie na oku t. zw. równowagę europejską, którą tym razem osadzono na pięciu wielkich mocarstwach, dwóch zachodnich (Anglii i Francyi) i trzech wschodnich (Rosyi, Prusiech i Austryi). W środku pomiędzy dwiema temi grupami pozostawiono luźne kawałki lub związki państewek „neutralnych“ — niemieckich, włoskich, szwajcarskich, niderlandzkich, pod bezpośrednią i faktyczną lub nominalną tylko pieczą mocarstw samodzielnych: przyczem nie uwzględniono ani pragnień ludności miejscowej, ani przyrodzonych znamion narodowościowych, ani tradycyj historycznych. Niektóre obszary narodowe, Niemcy, Włochy, Polska, dostały się w okrawkach kilku państwom, Austrya znowu złączyła w jedną państwową całość wiele obcych sobie narodowości. Chwiejnemu powrotowi do równowagi dawnej towarzyszył niezdecydowany powrót do systemu rządów dawnych.

Ze ścierania się pierwiastków tak różnorodnych wytworzył się niebawem ferment, w którym pomysły i dążności z końca wieku XVIII znalazły zasiłek pożądany a dostatni. W kilka lat po kongresie wiedeńskim bardzo już wyraźnie, we Francyi szczególnie i w Anglii, częściowo we Włoszech i Niemczech, malkontentyzm narodowy szedł ręka w rękę z liberalizmem rewolucyjnym lat 1789—92, przybierając wszędzie hasła zastosowane do okoliczności, przyrodzonych warunków istnienia i wspomnień historycznych. Pomiędzy rządami i stanami, z położenia swego zachowawczymi a stronnictwami opozycyjnemi (liberałami i narodowcami) rozpoczęła się w ten sposób walka, stanowiąca właśnie główny wątek politycznych dziejów Europy w wieku XIX.

Walkę tę, w zmiennych kolejach tryumfu to jednej to drugiej strony, ze stałą jednak w rezultatach przewagą godeł—jeśli nie zasad demokratycznych, ludowych, p. Seignobos skreślił na podstawie dzieł znanych, dostępnych ogółowi — prosto, jasno, dobitnie, bez zapędów i uniesień stronniczych, chociaż cokolwiek oschle, stylem przypominającym stereotypowe streszczenia encyklopedyczne. Opowiadanie nie wszędzie się zaokrągla do należytej pełni z powodu końcowej daty roku 1896, która w danym zakresie niczem szczególniejszem się nie odznacza.

Turn.

PRÓBY ODRODZENIA EKONOMII LIBERALNEJ.

I.

Od lat paru coraz częściej dają się słyszeć głosy, stwierdzające całkowity już jakoby upadek ekonomii liberalnej. Ostatnio zapowniał o tem publiczność niemiecką Schmoller w mowie, wypowiedzianej przy objęciu rektoratu uniwersytetu berlińskiego. Liberalizm — mówił przewodca socyalizmu katedrowego — przestał już faktycznie istnieć. Rola jego, polegająca jedynie na wypracowaniu pewnych szematów dedukcyjnych, ułatwiających następne badania konkretnych przejawów życia gospodarczego narodów, od dawna już się skończyła. Klasyczna ekonomia angielska i liberalna szkoła w Niemczech zrobiły wszystko, co było na tem polu do zrobienia. Ustanowiły bowiem punkty wytyczne, umożliwiające naukową klasyfikacyę zjawisk gospodarczych, a tem samem przygotowały dostateczny grunt dla badań indukcyjnych, dla analizy historyczno-statystycznej, znamionującej prawdziwą naukę, zdolną dostarczyć stałych, niewzruszonych rezultatów. Ekonomia liberalna zbudowała teorye z natury rzeczy chwiejne, zmienne. Posłużyły one za schematy przy badaniu faktów stałych, niezmiennych. Dziś poznanie faktów posunęło się już tak dalece, że owe schematy stały się niepotrzebnemi: za wskazówkę przy poznawaniu zjawisk nowych obecnie już służyć mogą znane, nagromadzone w dostatecznej ilości, aby można było z nich wyciągnąć wnioski szerszej natury. Nauka gospodarstwa narodowego, stworzona przez Roschera, Rumelina, Brentana, Schmollera, nauka nawskroś indukcyjna, ostatecznie już dziś ukształtowała się, wyrugowawszy sztuczne a beztreściwe kombinacye pojęć ekonomii liberalnej. Wszelkie wysiłki nawiązania nici łączących wiedzę dzisiejszą z teoryami tej ostatniej muszą pozostać bezpłodne. Kto jeszcze wierzy w dedukcyę, temu winien być dostęp do katedr uniwersyteckich raz na zawsze zamknięty.

Zdania podobne nieraz już dawały się słyszeć. Przechodziły wszakże one stosunkowo niepostrzeżenie, pomimo iż wypowiadali je ludzie nie mniej od Schmollera poważni, jak Ingram, Gide i inni. Żaden z nich nie posunął się jednak w twierdzeniach swych tak daleko, jak Schmoller. To też powyższe jego oświadczenie wywołało cały szereg replik. Nawet ci, których sympatye zwracają się raczej w stronę socyalizmu katedrowego, niż liberalizmu, nie mogli zgodzić się na to poniżenie wiedzy klasycznej, jak tego dowodzi zamieszczony w *Neue Zeit* artykuł prof. Isajewa. Zaprotestował też w imię prawdy literacko-historycznej prof. Oncken z Bernu, wykazując na zasadzie świeżo opublikowanych wykładów Smitha, że ani metoda indukcyjna, ani twierdzenie o względności praw gospodarczo-politycznych, ani przyznanie czynnikom moralnym wpływu na bieg życia ekonomicznego narodów—nie jest wyłączną własnością szkoły historycznej, że już u Smitha wszystkie te „zdobycze wiedzy niemieckiej“ się znajdują, co mu jednak nie przeszkadza dążyć do poznania „praw“ ścisłych, dedukcyjnych, choć wspartych na przesłankach, zaczerpniętych z doświadczenia i obserwacyi; że przekonanie, jakoby nauka Smitha była idealizacyą bezwzględnego egoizmu, oraz stosunki kapitalistyczne podnosiła do godności praw wiecznych, oparło się na powierzchownej tylko znajomości dzieł filozofa szkockiego, na umyślnem przekręcaniu jego twierdzeń w celach partyjnych. Wreszcie w prasie codziennej pojawiły się liczne protesty i krytyki, które wyszły z łona zwolenników szkoły „ścisłej.“

Głosy te miały wszakże na celu raczej obronę metody dedukcyjnej i ekonomii klasycznej, niż zasad liberalizmu. Zdanie Schmollera o ostatecznem bankructwie tych ostatnich nie wywołało znikąd bezpośredniej obrony. Czyżby liberalizm w rzeczy samej już istnieć przestał? Czyżby grupująca się koło *Journal des economistes* szkoła francuska, pielęgnująca wiernie tradycye J. B. Saya, zrezygnowała z wszelkiej otwartej walki w przekonaniu swej bezsilności na polu badań teoretycznych?

Że wśród zwolenników Blocka i Leroy-Beaulieu panuje dziś pewne zniechęcenie, a nawet rozgoryczenie przeciw nowszym ekonomistom, odzywające się lekceważeo o ich „maitres célèbres“: Sayu, Bastiacie, Rossim — zdaje się być faktem. Oba te uczucia wyraźnie przemawiają z tonu, w jakim trzymane są przeglądy i krytyki wyżej wspomnianego organu. Najciekawsze, najważniejsze publikacye doby bieżącej bywają tam zaledwie wspomniane. Szczegółowy ich rozbiór uznają recenzenci *Journal des economistes* najczęściej za zbyteczny.

Niemniej przeto obwieszczenia o śmierci liberalizmu, od przeciwników jego pochodzące były zbyt wczesne. Bo oto w ostatnich właśnie czasach odrodził się on w nowej co prawda postaci, wyrzekłszy się całkowicie tradycyi Sayowsko-Bastiatowskiej i szkoły manchesterskiej: lecz właśnie wskutek tego tem żywotniejszy, tem niebezpieczniejszy, że uzbrojony w najnowsze zdobycze wiedzy ekonomicznej.

Z dwóch różnych naraz źródeł wypłynął nowoczesny ten prąd liberalny.

Mianowany na miejsce Walrasa w Lozannie jego uczeń, Vilfredo Paretto, ogłosił w roku przeszłym wykłady swe p. t. „Cours d'économie politique.“ Pod względem metodologicznym przedstawiają one niewiele nowego. Metoda matematyczna, której autor za swym mistrzem się posługuje, w dziele tem ani rozwiniętą dalej, ani też głębiej uzasadnioną nie została. Wszelka metoda — mówi on — jest dobrą, gdy jest dobrze stosowaną. W rozumowaniach swych wychodzi on wciąż z pewnych zasadniczych prawideł, niepodlegających wedle niego żadnej zgoła dyskusyi. Pewnikiem takim jest dlań istnienie ścisłych, we wszelkich warunkach czasu i przestrzeni niezmiennie działających praw ekonomicznych. Wątpliwości szkoły historycznej zbywa ironiczną uwagą: „Znajdują się ekonomiści, dowodzący, że niema w ekonomii praw przyrodniczych: zapewne znają oni kraje, w których przejezdni mają darmo hotele i w których kupcy nietylko nie żądają od nabywających zapłaty, lecz jeszcze im dopłacają.“ Pewnikiem jest dlań również to, iż wszelkie działanie prawa ścisłego da się dokładnie wymierzyć, a zatem ująć w matematyczny wyraz.

Oba te twierdzenia znajdują się już u Walrasa i u Jevonsa — właściwych twórców metody matematycznej. Przyznaje je też w zasadzie szkoła „ścisła,“ choć przeważna część jej uczniów, zarówno jak i mistrz jej Menger, stosunkowo niewielką przywiązują wagę do wyrażenia matematycznego. Wszelako poszczególni jej członkowie, jak np. Lehr, w większości wypadków starają się o matematyczne sformułowanie swych twierdzeń. A jednak ani Walras, ani Menger do szkoły liberalnej zaliczyć się nie dadzą. Mniemanie, iż ścisłe prawa ekonomicznego życia narodów istnieją, nie oznacza jeszcze bynajmniej, żeby skutek ich działania wszędzie i zawsze pozostawał niezmiennym, żeby konkretne kształtowanie się zjawisk ekonomicznych niezależnem było od wpływów

moralnych, społecznych i politycznych, żeby więc interwencya społeczeństwa, czy państwa w imię czy to etyki, czy też przyszłości kultury narodowej była zbyteczną lub szkodliwą: również zasada, iż czynnikiem zjawisk ekonomicznych są indywidualne potrzeby jednostek gospodarczych, nie wymaga koniecznie usunięcia z zakresu życia gospodarczego wszelkiej zbiorowej reglamentacyi, ogłaszania organizmu ekonomicznego za wypadkową tylko indywidualnych dążeń rozbieżnych, zlewających się niezależnie od woli i wiedzy jednostek w harmonijną całość *).

Lecz Pareto stawia obok tych dwóch pewników trzeci jeszcze, własny. „Użyteczność — mówi on — jest zawsze tylko względną: może ona być indywidualną, społeczną lub zbiorową: występuje na jaw przy wszelkiej funkcyi społecznej, lecz przy każdej z nich w postaci odmiennej, probierz jej bowiem leży nie po za tą funkcyą, lecz w niej samej. Użyteczność nie jest więc nigdy bezpośrednio odczutem zjawiskiem, nie może więc być źródłem zjawisk gospodarczych, stanowiących podstawę a nie wynik społecznego bytu narodów. Bezpośrednim takiem zjawiskiem jest jedynie odczucie zadowolenia z zaspokojonej potrzeby bezpośredniej, odczutej a nie wyrozumowanej. Odczucie to chrzci on mianem „ophemilite." Ekonomia polityczna jest nauką o „ophemilite," a ponieważ ta ostatnia stanowi fakt bezpośredniego doświadczenia, jest więc jedyną wśród nauk społecznych gałęzią wiedzy, zdolną dojść do nie mniej ścisłych i pewnych wyników, niż fizyka i chemia. Nie moja rzecz wchodzić w rozbiór nasuwającego się tu pytania, w jaki sposób nauka, czerpiąc przesłanki swe z wewnętrznej, subjektywnej, a więc jak indywidua rożnorodnej obserwacyi, dojść może do ścisłych, objektywnych wyników. O wiele ciekawszą stroną powyższego rozumowania jest wyraźna dążność Pareta do atomizacyi społeczeństwa, do rozdrobnienia zjawisk gospodarczych na niezależne od siebie funkcye indywidualne. To już nie chęć odnalezienia w prawach duchowego życia „jednostki gospodarczej," tj. wchodzącej w skład organizmu ekonomicznego, podstawowych praw samego tego organizmu, jak to ma miejsce u Wagnera, ani nawet dążenie do oparcia dedukcyj ekonomicznych na zasadniczych prawach psychologii jednostkowej w imię zasady, iż stany świadomości zbiorowej są wynikami tylko celowo-indywidualnych czynników — jak to widzimy u Mengera — lecz otwarty powrót do zasadniczego twierdzenia ekonomii liberalnej, według którego społeczeństwo jest tylko zbiorem indywiduów, a zjawiska gospodarcze indywidualnemi ich funkcyami. Twierdzenie to wyprowadza wszakże Pareto z zasadniczo odmiennych przesłanek, niż Leroy-Beaulieu. Teoryę egoizmu jednostkowego, jako jedynego motywu gospodarczej działalności, odrzuca on nie mniej kategorycznie, niż Schmoller lub Wagner. Nie waha się parokrotnie oświadczyć, iż najpewniejszą rękojmią dobrobytu narodów jest ich moralność, że życie społeczne opierać się winno na sprawiedliwości i poczuciu obowiązków obywatelskich.

Ekonomia polityczna nie jest też bynajmniej wedle niego nauką o egoistycznych dążnościach materyalnych ludzi, o bezwzględnej ich, żadnymi więzami moralnymi nieskrępowanej konkurencyi. W ten sposób Pareto staje się wolnym od najcięższych, najlepiej uzasadnionych i najwięcej rozpowszechnionych zarzutów, które spotkały liberalizm i które najwięcej zaszkodziły tej doktrynie. O systemie jego nie da się powiedzieć, żeby on był idealizacyą egoizmu.

*) Menger: *Untersuch. über d. Methode der socialen Wissenschaft.*, t. I.

Istota wszakże liberalizmu polega nie na obronie tego ostatniego. Podobne zdanie mogło się pojawić jedynie w toku zażartych polemik. Grzechem jego pierworodnym jest pogląd na społeczeństwo jako na sumę jednostek, jest zapoznawanie różnicy między człowiekiem jako osobnikiem a człowiekiem jako członkiem społeczeństwa, jest nierozumienie faktu, iż jednostka może zadowolić społeczne swe potrzeby jedynie pracując dla dobra grupy, do której należy. Teorya zaś „ophemilité," jako źródło i probierz życia gospodarczego, stworzona przez Pareta, zawiera w sobie wszystkie te momenty.

Wyszedłszy z indywidualistycznego tego założenia, musiał Pareto z konieczności rzeczy dojść też do wniosków, cechujących wogóle ekonomię liberalną. Nie określa więc kapitału jako specyalnego stosunku społecznego, lecz jako szczególny gatunek dóbr gospodarczych. Jest nim — według niego — wszelkie, więcej niż raz jeden do produkcyi użyte dobro. Zgodnie z tem dzieli kapitały na osobiste, ruchome i stałe. Wysoce charakterystycznym jest pogląd jego na pierwszą ich kategoryę. Siła robocza służy niezliczoną ilość razy do produkcyi. Jako taka jest ona kapitałem, a że niepodobna jej oddzielić od producentów, kapitałem więc jej ludność. Pojedynczy człowiek jest jego składnikiem, a więc dobrem gospodarczem, mającem swą wartość, swą cenę, wedle tych samych praw, co i cena wszelkich innych dóbr. W ten sposób Pareto usuwa na bok całą społeczną stronę zagadnienia płac roboczych, sprowadzając do czysto ekonomicznej kwestyj wzrostu lub spadku cen, regulowanych przez współzawodnictwo i koszty produkcyi. O wiele jeszcze prostszą odpowiedź daje on na pytanie, skąd się bierze produkcyjność kapitału? Pytać o to—mówi on — znaczy tyleż, co zastanawiać się, czemu wiśnia rodzi wiśnie — jak gdyby tu chodziło o techniczną produkcyjność, a nie o zdolność pewnej wartości powiększania się w procesie obiegu. Lecz liberalizm, mający do czynienia jedynie z funkcyami indywidualnemi, nie chciał nigdy różnicy tej przyznać i przyznać jej nie może.

(D. n.)

Dr. Stanisław Grabski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Piotr Chmielowski: *Etyka Mickiewicza.* Lwów, 1898.

Chyba nie trzeba przypominać czytelnikowi, że twórca „Pana Tadeusza" nie był autorem żadnego dzieła, poświęconego rozważaniom w zakresie estetyki, a jakkolwiek w twórczości swej wzniósł się na wyżyny niewielu tylko duchom dostępne, jakkolwiek w swej działalności profesorskiej, zarówno jak w rozprawach, służących za przedmowy do jego dzieł, niejednokrotnie wypowiadał swe poglądy na zadania sztuki i sposoby jej działania na widza czy słuchacza, niemniej nie spotkamy u niego samoistnych i płodnych myśli w obrębie pojęć estetycznych. Właściwie mówiąc, niejedną taką myśl odszukać by się dało, lecz są one rzucane przygodnie, w postaci nierozwiniętej, nie uwydatniają się w szeregu zdań mniej ważnych lub zgoła błędnych. Dziedziną geniuszu Mickiewicza nie była analiza; ani też synteza, obracająca się w kole zagadnień treści abstrakcyjnej. „Jako myśliciel-estetyk — powiedzmy słowami P. Chm.— nie posiadając w wyższym stopniu zdolności analitycznych, nie dochodzi on do jakiegoś ściśle spójnego systematu prawd." Więc też i zadaniem rozprawy nie może być rozbiór owego nieistniejącego spójnego systematu, lecz jedynie zobrazowanie powolnego kształcenia się pojęć estetycznych wieszcza, o ile ten rozwój przybrał formę poglądów teoretycznych, wyrażonych w sposób mniej lub więcej dobitny. Oglądając duchowy wizerunek poety z nowej strony, może dostrzeżemy w nim jakiś rys jeszcze niedojrzany, a przynajmniej ukazujący się nam dotychczas w odmiennej nieco postaci. A jeśli z rysami, z którymi oswoiliśmy się już oddawna, skojarzymy to nowe znamię, ukochane oblicze wieszcza stanie się jeszcze wyrazistszem. I takie też założenie spoczywa w osnowie rozprawy naszego niestrudzonego badacza. Skupić rozstrzelone zdania, dotyczące obranego przedmiotu, sprowadzić je do jednego mianownika, wskazać ich źródła, kryjące się bądź w przeważającem usposobieniu poety, bądź wpływach zewnętrznych — oto cel, ku któremu autor dążył. W dociekaniach swych oczywiście nie mógł osiągnąć wyników bezwzględnie nowych. Podstawowe znamiona Mickiewicza już są ustalone, droga rozwoju jego działalności twórczej i społecznej wykreślona oddawna, a niemała w tej mierze część zasługi spada właśnie na P. Chmielowskiego. W najnowszem tedy dziele wypadło mu nieraz powtarzać sądy, gdzieindziej wypowiedziane. Autor pragnął tylko uwzględnić w znaczniejszej mierze szczegóły, które w obszerniejszym obrazie trzeba było pominąć, żeby nie psuły harmonii układu — pragnął wycieniować w pewnych jego częściach obraz, już istniejący. Dokonał tego w sposób monograficzny: stąd płyną zarówno dodatnie, jak ujemne strony rozprawy. Dodatnie — albowiem uwaga nasza, ściśle się trzymając przedmiotu, tj. poglądów Mickiewicza na sztukę, nie rozprasza się. Skądinąd autor, wyodrębniając jeden pierwiastek duchowego rozwoju poety z szeregu innych współdziałających, pobieżnie tylko może dotykać czynników, które warunkowały każdorazowe kształtowanie się pojęć estetycznych wieszcza i dlatego przyczyny zwrotów w systemie wyobrażeń są przedstawione w sposób bardzo ogólnikowy, a genetyczny związek między jednym okresem „estetyki Mickiewicza" a drugim nie zawsze jest dość wyraźny.

Okresów takich autor wyróżnia cztery. Pierwszy możnaby nazwać szkolnym. Poeta wówczas pozostaje w kole wyobrażeń klasycznych, a ujawnia to zwłaszcza w ocenie „Jagiellonidy" Dyzmy Bończy Tomaszewskiego. Charakterystykę tego okresu Chmielowski zamyka w następnych słowach: „Student uniwersytetu wileńskiego, wykształcony przez nauczycieli, hołdujący mniej lub więcej smakowi klasycznemu, pisząc recenzyę poematu epicznego w r. 1818, zostawał w całkowitej zależności od zasad, przyjętych u nas współcześnie, i żadnej nie wyraził myśli, która by dozwoliła w nim dopatrzyć się przyszłego inicyatora nowego kierunku poezyi." Autor doszedł do tego wniosku drogą ścisłych i mozolnych bardzo dociekań. Postępując w ślad za recenzentem „Jagiellonidy," dla każdego mającego ogólniejsze znaczenie zdania komentarzu poszukuje odpowiednika i znajduje go u któregokolwiek z ówczesnych prawodawców smaku literackiego. Czy niezbędny jest cały ten olbrzymi aparat erudycyi dla osiągnięcia wniosku, który sam przez się nasuwa, o małej samodzielności umysłowej młodzieńca? Trzeba zważyć, iż takie szczegółowe zestawienie, jak u Chmielowskiego, wypełnia konkretną treścią nasze formułki ogólnikowe, i co może ważniejsza, wprowadzając nas pod pewnym swoistym względem w atmosferę umysłową wieku, dają miarę zarówno zależności Mickiewicza od tradycyjnego spo-

sobu myślenia w wczesnej dobie jego rozwoju, jak uniezależnieniu się jego od szkolnych wpływów w okresie następnym. Staje się on wówczas szermierzem romantyzmu, występując z coraz większą pewnością siebie. Zaczyna się to nieśmiałą obroną w „przemowie“ do pierwszego tomu poezyj w 1822 r., gdzie poeta usiluje wykazać, że romantyczność nie polega na „łamaniu prawideł i wprowadzaniu dyabłów,“ a kończy się miażdżącymi przeciwników ciosami w rozprawie „O krytykach i recenzentów warszawskich.“ Samodzielność Mickiewicza w tym drugim okresie jest względną jedynie. Przekona nas o tem autor „Estetyki“ swoją niespracowaną erudycyą i sumiennością, niedającą się odstraszyć ani ilością tomów estetyk niemieckich, ani ich grubością. Wniosek jego rozważań brzmi: „Nowych, nieznanych przed nim poglądów na twórczość poetycką Mickiewicz w swej „Przemowie“ nie rozwinął, ale to, co było ówczas świeżego z dziedziny estetyki, podał współziomkom swoim w jasnej formie.“ Rozszerzyły się widnokręgi umysłowe poety, rozwarły się przed nim nieznane dotychczas światy — a poczucie poetyckie kazało mu wybierać pomiędzy tą strawą umysłową, którą go dotąd karmiono, a wzorzystymi kobiercami t. zw. romantycznej poezyi. Zwrot wszelako nie był nagłym, albowiem usposobienie Mickiewicza, według uwagi autora „obok żywości a nawet porywczości, miało też w sobie zdolność do wielostronnej rozwagi, a więc chociaż ulegało nowym wpływom, dążyło przecież do zlania ich z tem, co już dawniej w duszy istniało.“ Były tedy momenty przejściowe w rozwoju pojęć Mickiewicza. Komentarz do „Zofiówki,“ który jako wykładnik pojęć teoretycznych i ze względu na metodę krytyczną należy do okresu pierwszego, powstaje niemal jednocześnie z „Przemową,“ a wyzwanie, rzucone Śniadeckiemu w „Romantyczności,“ godzi się z lekko tylko tchnieniem romantyzmu owianym wierszem „Do Joachima Lelewela.“ Tak zachodzą na siebie okresy pierwszy i drugi. Przyczyny jednak, które złożyły się na wytworzenie zmiany wyobrażeń poety, pozostają u autora cokolwiek w cieniu i dlatego nie możemy wyrobić sobie jasnego pojęcia o dokonywającym się zwrocie. Wogóle bez wejrzenia w psychologiczne czynniki przekształcania się pojęć, bez uwzględnienia całości wpływów, działających na wyobraźnię i umysł wieszcza, niepodobna oznaczyć wielkości jego osobistego wysiłku w odrzuceniu poglądów dawnych a przyswojeniu nowych. Z mechanicznego ponickąd zestawienia sądów poety ze zdaniami Schlegla czy Bouterweka można wytworzyć sobie całkiem mylne w tym względzie przekonanie. Ocenić zaś doniosłość wystąpienia Mickiewicza można jedynie na tle ówczesnych stosunków literackich, i na tem tylko tle „estetyka“ Mickiewicza należycie zrozumiana być może. Atoli uwzględnienie wszystkich tych okoliczności pociągnęłoby za sobą potrzebę wykroczenia po za ciasne ramy, które autor dla siebie zakreślił. I my też musimy wraz z nim pozostać w szczupłejszym obrębie.

Niełatwe miał zadanie Chm., gdy usiłował scharakteryzować estetyczne poglądy twórcy „Pana Tadeusza“ w późniejszej dobie, zwłaszcza że rozporządzalny materyał był urywkowy i nie zawsze pewny. Skupia tedy pojedyncze rysy, luźne wzmianki, dorywcze określenia poszczególnych zjawisk literackich czy pewnych okresów tego lub owego piśmiennictwa. Sądy Mickiewicza w owej porze odznaczają się wielką niespójnością, a okres nazwany przez Chm. trzecim (od r. 1829 do 1841) o tyle tylko chyba na miano okresu zasługuje, że w tym czasie poeta wznosi się na krytyczne stanowisko względem swej doby „burzy i rozpędu.“ Za najwyższe zadanie sztuki poczytuje *prawdę*, ale tę prawdę różnie w różnych chwilach rozumie; a że nastrój religijno-mistyczny stopniowo coraz większą zyskuje przewagę w duchowem jego życiu — więc zgodzić się wypadnie z autorem, że Mickiewicz nie miał zupełnej teoretycznej świadomości realizmu, mimo że stwarza współcześnie tak wysokie wzory realistyczne, jak „Pan Tadeusz“ i „Dziady.“ Autor oparł się przeważnie na „Odczytach w Lozannie“ i pierwszym roku wykładów w Kolegium francuskiem. Jako profesor literatury specyalnie łacińskiej, Mickiewicz zniewolony był w stopniu znacznym ograniczyć dawne swe ujemne zapatrywanie na piśmiennictwo Rzymu. Co do wykładów z katedry w Paryżu, podług zupełnie słusznej uwagi Chmielowskiego, niepodobna zebrać w nich obfitego plonu estetyczno-krytycznych sądów. Może nawet należałoby raczej scharakteryzować krytyczną metodę poety, aniżeli poszukiwać sformułowania ogólniejszych zasad teoretycznych. Wykłady o literaturze słowiańskiej nazwaćby właściwie należało wykładami o cywilizacyi plemienia słowiańskiego, rozumianej w pewien swoisty sposób. W pierwszej połowie naszego stulecia poszukiwano usilnie ducha, idei, uosobionych w poszczególnych narodach i czasach i urzeczywistnianych właśnie przez te czasy i narodowości. „Dzisiaj najbardziej jest w zwyczaju wiele mówić o posłannictwie bądź pojedynczych znakomitych w dziejach ludzi, bądź narodów“ — powiadał profesor i tym wymaganiom chciał zadośćuczynić, chciał wykryć posłannictwo czyli ideę narodową swego plemienia. Z tego stanowiska wysnuwając swe poglądy na warunki powstawania tworów piśmiennictwa, Mickiewicz zbliża się często do filozofii sztuki Taine'a. Co prawda, zapatrywania swe na to zagadnienia wypowiada tylko przygodnie, nie starając się ich dość ściśle uzasadnić, ani szerzej rozwinąć, a nadewszystko wyzyskać w praktycznem zastosowaniu do oceny szczególnych objawów literackich.

Zaznaczyć warto, że Mickiewicz ze swego idealistycznego punktu widzenia odwraca często wzajemne stosunki rzeczy. My dziś powiedzielibyśmy np., że duch ludzki jest wykwitem wszystkich warunków bytowania człowieka, ich sumą i najwyższym wyrazem. Filozofia atoli współczesna Mickiewiczowi mówiła: duch, rozwijający się w przyrodzie i dziejach, urabia według konieczności w sobie zamkniętej swój materyał. I dla wieszcza naszego, jakkolwiek Heglistą zgoła nie był, idea narodowa i duch plemienia jest czemś z góry opatrznościowo włożonem w pierś narodu. Mówiąc tedy o wpływach miejsca, jako warunku twórczości, wyraża zarazem przekonanie, iż „człowiek wiecznie szukał ziemi i powietrza, któreby najlepiej odpowiadały jego skłonnościom wrodzonym i usposobieniu fizycznemu.“

W czwartym, mesyanicznym okresie widzimy Mickiewicza na mównicy w Kolegium francuskiem. Przekonania poety przesiąkają mistycyzmem, który w odpowiedni sposób zabarwia jego poglądy na twórczość poetycką. Sztuka jest dla niego wizyą, rodzajem wywoływania duchów. To, co nazywamy talentem, stanowi węzeł, łączący ducha artysty ze światem niewidzialnym. Wyobrażenia podobne odżyły w ostatnich czasach...

Jak zrozumieć to szczególne przeciwieństwo, iż w dobie najdonioślejszej twórczości i okresie następnym zapatrywania Mickiewicza w obrębie sztuki odznaczają się nieporównanie mniejszą jednolitością i określonością, aniżeli to było w czasach młodzieńczych, a nawet w latach szkolnych? Być może przeważnie uczuciowe usposobienie poety zdoła wyjaśnić tę zagadkę. O czasach zupełnej niesamodzielności, kiedy umysł biernie wchłaniał tradycyjne i w doskonały sposób ułożone poglądy, nie mamy potrzeby mówić. Później, nowy układ przekonań był przyjęty z zewnątrz. Walka z klasykami, a zwłaszcza konieczność otrząśnięcia się ze szkolnych nabytków była dźwignią umysłową, a pojęcia przeciwników — tłem, na którem przez odbicie własne wyobrażenia poety nabierały większej wyrazistości i spójności. I oto kampania skończona, obóz nieprzyjaciół rozproszony. Poecie, z usposobienia nie teoretykowi, zabrakło pobudki do systematyczniejszej pracy w kierunku abstrakcyjnym. A nadto były to czasy, kiedy cała umysłowa i moralna energia wieszcza była pochłonięta zagadnieniami natury etycznej i społeczno-narodowej, lecz zgoła nie estetyczno-literackiej.

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Lucyan Rydel: *Z dobrego serca.*

Lucyan Rydel, który w poezyach daje nam piękne opisy wschodu i zachodu słońca, sięgnął tym razem do serdecznej duszy prostaczków, aby w maleńkim obrazku scenicznym a jednak szeroko nakreślić zachód i wschód szczęścia. Gdybyśmy obrazek ten zwyczajem recenzentów streścili, to osnowa jego wydałaby się może nikłą. Boć cóż się tam stało? Umarła mężowi żona, gospodyni, pozostał nieborak z dzieciakami, rady sobie dać nie może; myśli więc o nowym związku małżeńskim, nie dla siebie, lecz dla dzieci; teść się oburza, lecz siostra zmarłej, rozumiejąc położenie nieszczęśliwego wdowca, poświęca się i postanawia wyjść za niego. To cała treść: tyle daje życie. Ale serce poety umie w tej powszedniej historyi dojrzeć całą głębię cierpień, zwątpień, szamotań, dźwigań: wyobraźnia jego umie wobec słuchaczy otworzyć na oścież wrota do dziedziny umysłów prostaczych i wprowadzić widza w samo serce człowieka, którego cierpienia maluje. Powiał tedy na nas z obrazka Rydla prąd zdrowy, silny, etyczny, zajaśniało nam piękno moralne, choć w maleńkiej kropelce odbite, ale tą kropelką była łza ludzka. Drgnęło w nas serce i ogarnęła nas radość, że na błoni dramaturgii naszej wykwitł taki jednoaktowy kwiatuszek, taki czysty i taki podniosły. Wypada tylko wyrazić życzenie, aby szersze koło publiczności naszej mogło się zapoznać z tym utworem. Rydel znalazł w amatorach znakomitych tłomaczów swojej myśli. Scena w Dolinie Szwajcarskiej nie była sceną, ale istotnie jakąś stancyjką z Podwala, a pp. Łącki, Wilczyński i panna Nagórska nie aktorami, lecz ludźmi, żywymi ludźmi. Pan Łącki zwłaszcza wżył się tak w postać, którą odtwarzał, że wywołał w nas zupełną złudę artystyczną. Widzieliśmy go w „Dzikiej kaczce“ i w jednoaktówce Rydla. Dlaczego tym razem stworzył postać zupełnie żywą? Bo musiał ją czuć lepiej, bo jest z nią złączony nietylko intelektualnie, ale węzłami krwi. W sztuce nie zawadzi mędrca „szkiełko i oko,“ ale stokroć ważniejszem jest „miej serce i patrzaj w serce.“

Amatorowie dali nam po sztuce Rydla jeszcze jednoaktówkę francuską. Jakże to było blade w porównaniu z utworem Rydla! Głos powszechny twierdzi, że i tę rzecz amatorowie wykonali dobrze. A nam się zdaje, że nie. Bo czyż można grać dobrze ludzi wymyślonych a nie żywych? Najlepszy aktor nie zdoła tak poruszać manekinem, aby wmówić w publiczność, że to nie manekin, ale człowiek. Życzymy amatorom, aby raz na zawsze zerwali z sztuką żonglerską, z aktorstwem dla aktorstwa, bo narażają talent swój na wielkie niebezpieczeństwo — na manierę. Niechaj zdołą

będą się na ową słuszną dumę artystyczną, która gardzi „kunsztem“ a wielbi „sztukę.“

Andrzej Niemojewski.

MALARSTWO.

I.

Salon Krywulta: Juliusz Exter, Oskar Re . Strojnowski.

Wyrażenie „wiek XIX jest wiekiem pary i elektryczności,“ szybkiego ruchu i szybkiego życia, jakkolwiek stało się już szablonowem i utartem, zawiera jednakże w sobie wielką część prawdy. Ogromnie przyspieszony rozwój wiedzy i przemysłu łączy się z przyspieszeniem pulsu myśli we wszelkich innych jej dziedzinach. Nauka i sztuka zmienia, jeśli nie treść, to formę swą zewnętrzną w sposób kameleonowy. Co wczoraj było nowem, dziś staje się już starem, co wczoraj było prawdą świeżą, dziś jest już komunałem; co wczoraj jeszcze rozpalało umysły, dziś nie wzrusza nikogo. W sztuce jest to zdaje się bardziej widocznem, niż w jakiejkolwiek innej sferze twórczości. Zmiany kierunków i dążeń następują po sobie tak szybko, że niektóre z nich giną może wcześniej, niż się stały własnością ogółu. Weźmy choćby malarstwo. Jak to jeszcze niedawno plein-airzyści francuscy z Bastien Lepagem na czele musieli staczać walkę gwałtowną z szablonem i akademią, a dziś już krytykujemy artystów, gdy zamało w ich płótnach znajdujemy powietrza i światła. Jak to niedawno krytyków przysięgłych oburzało wprowadzanie do sztuki tematów tak „poziomych,“ jak mało poetyczne pola, łąki, moczary, lub brudni chłopi i robotnicy, zamiast eleganckich pasterzy i pasterek à la Watteau na tle konwencyonalnego „landschaftu!“ Dziś malarzy znów jak gdyby nudzić poczyna codzienna proza życiowa: zagłębiają się w sobie samych, toną w mistycyzmie lub szukają tematów w baśniach czarodziejskich.

Technikę malarską doprowadzono już do szczytów, o formę walczyć niema potrzeby, najważniejsze „zagadnienie powietrza i światła“ (*das Problem von Licht und Luft*, jak powiadają Niemcy), rozwiązali plein-airzyści, impresyoniści i wibryści, jeśli więc chce się być oryginalnym, można nim zostać tylko dzięki oryginalności pomysłów; niech więc żyje fantazya! Lecz ta nie zawsze dopisuje, tu nie pomoże rozmyślanie ani naśladownictwo: poetą trzeba się urodzić. Dlatego też zbyt często na płótnach artystów współczesnych zamiast śmiałych a poetycznych obrazów widzimy jakieś sztuczne, naciągane, „na chłodno“ obmyślone i malowane wizye. Do ostatnich zaliczyć trzeba i „Las zaczarowany“ Juliana Extera. Ten, jak się zdaje, secesyonista monachijski posiada talent niewątpliwy, może nawet i wyobraźnię bogatą (z jednego dzieła wyrokować o tem trudno), lecz ta wyobraźnia stanowczo mu w tryptyku nie dopisała. Rzecz dziwna, w tem dziele *fantastycznem* najlepiej namalowanym i odczutym jest *rzeczywisty, realny* chłop z ręką przy ustach, otwartych do wołania i z oczyma w dal zapatrzonemi. Sam zaczarowany las, w którym harce wyprawiają dryjady czy wiedźmy (odróżnić niełatwo) i w którym nie wiadomo dlaczego leży nie wiadomo na czem naga kobieta, ma tylko jeden prześliczny odblask słoneczny na korze drzewa w trzeciej części tryptyku, a po za tem... nie sprawia zupełnie wrażenia lasu. I temat sam nie tłomaczy się jasno: kogo woła ten chłop przy koniach? Co robi w lesie ta naga kobieta? Skąd się wzięły te wiedźmy wogóle, a ta ruda (w trzeciej części) w szczególności? Wszystkie te pytania pozostają bez odpowiedzi. Przypuśćmy, że widziadłami takiemi zapełniła „Las zaczarowany“ wyobraźnia Extera, podobnie jak uczyniła to w „Schweigen im Walde“ fantazya nieporównana Böcklina — lecz w takim razie, co ma znaczyć ten chłop w pierwszej części obrazu? To postawienie przed widzem jakiejś niepojętej zagadki, do której rozwiązania samo dzieło nie zachęca, jest fatalną wadą płótna Extera. Nie jest ono zresztą pozbawione zalet. oprócz wymienionych już wyżej (postać chłopa i blask słoneczny) należy tu wspomnieć i o dokładnym rysunku, który w jednem chyba tylko miejscu artyście nie dopisał: prawa ręka postaci leżącej jest przedstawiona w skrócie perspektywicznym tak niefortunnym, że czyni wrażenie „suchej“ oraz pozbawionej ramienia. Nieświetnym jest również i koloryt, zwłaszcza w dziecinnie (może z umysłu) naiwnym pejzażu w części pierwszej oraz w samym lesie, nie zachwyca nas również modelacya ciał, zbyt twardo i niedokładnie wykończonych. Pomimo to wszystko jednak jest w całym tryptyku coś nieokreślonego, coś takiego, co znamionuje siłę i talent, który być może w dziele tem nie w zupełności objawić się umiał, lecz niewątpliwie w duszy artysty żyje.

Jeżeli trudnem jest zadanie *malarskie* artysty, gdy puszcza zupełnie swobodnie cugle swej fantazyi, to bodaj że stokroć staje się ono trudniejszem, kiedy jego wyobraźnia ma loty, skrępowane jakimkolwiek czynnikiem zewnętrznym, chociażby prawdą historyczną. Tu nie wystarcza talent, tu za mało jeszcze samego natchnienia, należy jeszcze ustrzedz się obrażania świadectwa dziejów. Nie bardzo się tem krępowano ongi; święte, święci, postacie historyczne starożytności na płótnach mistrzów Odrodzenia nieraz odziani są w szaty XV i XVI stulecia: dziś byłoby to nas raziło. Ogromną pod tym względem sumienność posiadał Matejko, to też jego obrazy po za wartością artystyczną posiadają jeszcze znaczenie pomników. Czy nie obraził w niczem prawdy historycznej Oscar Rex, twórca cyklu o Napoleonie? Tak i nie. Tło jest bez wątpienia wiernem, styl epoki zachowany, natomiast brak w tym cyklu tego wielkiego, żywiołowo-potężnego ducha epoki, który się tak świetnie odzwierciedlił chociażby w płótnach Géricault'a i w całej tej malowanej epopei Napoleońskiej — bardzo mało jest Napoleona. Niełatwem było zresztą w szeregu obrazów odtworzyć oddzielne momenty z życia tego genialnego człowieka i pochwycić fotograficznie powolne zmiany, jakim podlegają z biegiem czasu rysy twarzy i całej postaci, niełatwem i, dodajmy, przechodzącem siły artysty. Na niektórych obrazach, jak np. „W szkole wojskowej w Brienne“ lub w „Pogróżce rzuconej Anglii,“ „W Erfurcie,“ jest nam Napoleon Rexa zupełnie obcy, na niektórych („Spotkanie z papieżem,“ „Przed bitwą,“ „Na Elbie“ i in.) poznajemy go tylko po szarym surducie i trójgraniastym kapeluszu, zdarza się również, że u Rexa Napoleon starzeje się i młodnieje wbrew logice czasu (por. „W szkole Wojskowej w Brienne“ i „Sielankę w Malmaison“) itd. Wreszcie zauważyć trzeba, że Rex psychologii zupełnie odczuć, a więc i oddać na płótnie nie umie: tam, gdzie chce wyrazić niezłomną wolę, niewzruszoną energię („Ja tak chcę“) maluje rozkapryszonego, upartego dzieciaka, który się rozpłacze za chwilę, bo mu się sprzeciwiają; zamiast człowieka o wytężonej myśli i skupionej uwadze („Przed bitwą“) maluje pacyenta, cierpiącego na jakieś gwałtowne bóle: młodemu małżonkowi, w parę chwil po ślubie („Wieczór weselny“), stojącemu u szczytu sławy i potęgi, daje twarz starego żonkosia, który przed chwilą przeszedł nie pierwszą i nie ostatnią scenę małżeńską; i w całym tym cyklu jest jeden tylko doskonale pochwycony moment, w którym chylący się ku upadkowi Cezar z ukrycia i w trwodze spogląda w otwarte drzwi balkonu, przez które widać uchodzące w nieładzie po pogromie pod Lipskiem niegdyś chwałą okryte wojska („W Frakfurcie“): Napoleon boi się dojść do tych fatalnych drzwi, bo drży na myśl, że zamiast gromkich wiwatów i tryumfalnych okrzyków powitają go sykania i złorzeczenia tych, których niegdyś wiódł ku wyżynom sławy — a teraz strąca w przepaść hańby... Dobrym również, jako pomysł, jest obrazek, w którym cesarz, bawiąc się z synem, stojącym na wielkim globusie i wskazującym rączką rozmaite kraje, mówi z dumą: „to dla ciebie, synu!“ („To dla ciebie“); wreszcie nie pozbawione są pewnego polotu poetyckiego, oraz smętnej melancholii „Na Elbie“ i „Powrót z Rosyi“; reszta nie jest w stanie wzruszyć widza. Całość nie stanowi poematu malarskiego, który się tłomaczy sam przez się i nie wymaga komentarzy słów, lecz tworzy raczej szereg ilustracyj do jakiegokolwiek dzieła o Napoleonie, dodajmy, ilustracyj wykonanych z sumiennością i elegancyą techniki, zdradzającej niewątpliwy wpływ szkoły francuskiej.

Obok Extera i Rexa mamy teraz w salonie Krywulta kilka płócien Strojnowskiego. Dzieł tego malarza dotąd na wystawach warszawskich, zdaje się, nie oglądaliśmy. Jeśli rzeczywiście wystąpił po raz pierwszy, to należy przyznać, że odrazu przedstawił się dobrze. Jest to talent niezaprzeczony i poważny. Obrazy Strojnowskiego oprócz zalet technicznych posiadają jeszcze to, co znamionuje głęboką i czującą duszę. Strojnowski jest mistrzem pół mroku, pół cienia, szarych, niepewnych świateł oraz efektów światła sztucznego. To też najlepsze są te jego płótna, w których zapadający mrok powoli roztapia w sobie kontury przedmiotów i odziewa szatą melancholii wnętrze chaty wiejskiej i siedzące w niej w zadumie kobiety („O zmroku“), w których słabe, przez małe okienko wpadające światło kładzie niepewne blaski na skupionych koło stołu postaciach („Wnętrze chaty wiejskiej“), w których ognie lokomotywy i latarnie stacyjne z trudem walczą z cieniami nocy („Stacya kolejowa“), w których wreszcie płomień kaganka czy świec oblewa fantastycznem światłem figury tańczących górali („Lezginka“)... Natomiast nie udają mu się studya malowane w pełnem świetle dziennem, w gorących blaskach słonecznych: „Stare domostwo“ jest to jedna z najsłabszych jego prac. W „Mgłach jesiennych“ — niezupełnie szczęśliwie pod względem technicznym, lecz nie bez poezyi — roztopił artysta smutek duszy człowieczej w ogólnej melancholii przyrody. Oto odziały mgły szkielety drzew, rozwlekły swe szaty po ziemi, trawie i krzewach, przykryły niebo i słońce i otuliły swą chłodną i szarą oponą, jak całunem śmiertelnym, duszę samotnej, pod drzewem siedzącej postaci niewieściej, kryjącej zapłakaną widocznie twarz w dłoniach. Tam gdzieś w oddali majaczą dwie sylwetki, zbliżone do siebie, jak gdyby złączone uściskiem. Czy dla nich mgły jesienne nie mienią się wszystkiemi barwami tęczy? Czy ta ich tęcza szczęścia nie osiada chłodną mgłą na duszy tej samotnej, rozełkanej kobiety? Kto odgadnie?... A po ziemi wloką się ciężkie, pełne rzewnej melancholii i jesiennego smutku mgły... Dał Strojnowski prócz tego dwa studya portretowe, z których jedno szczególnie (portret mężczyzny siedzącego przy stole i czytającego książkę) jest wprost znakomite. Ogromna prostota, brak wszelkiej wymuszoności, zdradzającej modela i pozowanie, dużo życia, wyborny rysunek, naturalność kolorytu i doskonała plastyka — oto zalety tego portretu, który bodaj że przypomina trochę sposo-

bem malowania najlepsze studya portretowe Podkowińskiego. Dalszych prac Strojnowskiego będziemy oczekiwali teraz z zaciekawieniem i niecierpliwością.

Michał Matermilch.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Pośród szeregu różnych koncertów, w których przyjmowali udział znani nasi artyści, jak Barcewicz, Michałowski i Wierzbiłowicz, ze znanym dobrze nam repertuarem—zainteresował swą grą młodziutki skrzypek, bo zaledwie—jak utrzymują—dziesięcioletni chłopczyna, Pawełek Kochański.

A więc znowu „cudowne dziecko."

Dotychczas jednak nikt stanowczo nie stanął w obronie fenomenalnych dzieci. I słusznie. Ich sztuczny, przyspieszony rozwój był i będzie potępiany. A jeżeli i są tacy, którzy nie wypowiadają wyraźnie swej opinii w tym względzie, to jedynie tylko przez wielką ostrożność, pomnąc na to, iż Mozart, chociaż zabłysnął od lat najmłodszych, pozostawił jednak swe imię wyryte głęboko na kartach historyi muzyki.

Zauważyć jednak trzeba, że muzyka z epoki Mozartowskiej, a zwłaszcza repertuar koncertowy dla wirtuozów owego czasu nie był nad siły nawet dla nieletnich wykonawców.

Takie utwory taneczne o formach klasycznych, jak np. menuet, sarabanda, gigue itp., albo też wreszcie sonatina, sonata lub koncert z czasów Haendla, Bachów, Haydna i Mozarta, gdzie chodzi głównie o piękne wyrzeźbienie figur, takie kompozycye, o ile będą wykonane we właściwym stylu i charakterze swego czasu, uważać należy za najstosowniejsze pod względem pedagogicznym do popisów nieletnich wykonawców; takie bowiem utwory, nienacechowane namiętnością, nie wpływają szkodliwie na organizm młodociany; nie szkodziły one też i Mozartowi.

Inna rzecz z płodami naszej epoki. Tyle w nich różnorodnych odcieni uczuć, wstrząśnień, mniej lub więcej gwałtownych, a oddać do tego jeszcze charakterystykę płomienną, która powinna być odczuta i uwydatniona przez temperament artystyczny i dojrzały — to już nad siły dziecka.

Że zapał i uniesienie przy takich kompozycyach w dziecku, obdarzonem żywszym temperamentem, pod wpływem musztrowania, zaczyna się rozwijać — nie ulega żadnej wątpliwości, że przytem gorączkowość działania pobudzona jest w wysokim stopniu - o tem łatwo przekonać się można; że jednak ta energia i ta gorączka przedwcześnie zniszczy w dziecku wszystkie siły żywotne — o tem żaden z wychowawców „cudownych dzieci" nie chce ani słyszeć, ani też wiedzieć.

O Pawełku Kochańskim można powiedzieć, iż stanął pośród całej rzeszy znanych nam cudownych dzieci najwyżej. Wykonał on na koncercie Towarzystwa Muzycznego kompozycye naszego czasu: koncert d-mol Wieniawskiego, rapsodyę węgierską Hausera i inne, okazując wszędzie wyborną technikę, wielki i pełny ton, wyraziste akcentowanie, może nieco trochę przesadne, a co najdziwniejsze - ognisty temperament (!?) i pewną dojrzałość w sposobie traktowania każdego muzycznego dzieła.

Czyż to nie zawcześnie?

Czyżby nielepiej było obecnie nieletniego, a już jakby dojrzałego skrzypka *odstawić* od instrumentu na pewien czas?

Byłoby to najpożyteczniejsze i zbawienne dla uspokojenia jego zgorączkowanej wyobraźni.

Ig. Pilecki.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

ETNOGRAFIA. S. Ramułt: „Statystyka ludności kaszubskiej," z mapą etnograficzną (290 str.). Wydanie krak. Akad. umiej.

HISTORYA. „Historya Polski," praktyczny podręcznik do nauki, t. IV, dodatek do *Wieku*.

POEZYE. E. Słoński: „Poezye" (151 str.). Gebethner i Wolff.

POEZYE

Na marginesie.

Na najstraszniejszą skazano nędzę
Dumnego ducha, co w górę rwie się:
Los mnie zapisał w życiowej księdze
Na marginesie.

Gdy swym porywom chcę czynić zadość,
Coś mnie odpycha zuchwałym gestem,
Usuwa na bok i w próżnię niesie:
Tam, gdzie ból wielki, gdzie wielka radość,
Nigdy śród tekstu, lecz zawsze jestem
Na marginesie.

Pomnę, raz jeden żywiłem wiarę,
Że nad młodzieńców góruję rojem,
Gdy ona, uczuć biorąc ofiarę,
Słodkich mi słówek rzuciła parę;
Lecz się rozstałem prędko z spokojem
I przy mym zwykłym stanąłem kresie:
Bo zapisała mnie w sercu swojem
Na marginesie.

Parnas mnie wabił, szedłem pod górę,
O listku lauru marząc gorąco . . .
A wiem, że w skalną upadnę dziurę,
Gdzieś, w zapomnienia przepaść milczącą
Albo mi krytyk wysmaga skórę,
Na ostrzu stalki w przyszłość poniesie
I w księgę sławy wpisze mnie drwiąco
Na marginesie.

Oto mi dola: schodzić na stronę,
Lub nieść bezpłodnie swej pracy skrzętność...
Z drzewa nadziei listki strącone,
Złamane serce, plany zniszczone
I spopieloną na nic namiętność . . .
Lekceważenie i obojętność
Prześladujące w życiowym lesie . . .
I jedna przystań — miejsce wzgardzone
Na marginesie.

Więc będąc jeszcze woli swej panem
Śród takiej troski przeszedłbym oto
Sam za margines życia z ochotą:
Śmierć by mi była złem pożądanem!
Lecz samobójców grób pod parkanem . . .
Na całą wieczność jużbyś grabarzu
Kazał mi zostać przy zwykłym kresie:
Musiałbym leżeć tam na cmentarzu
Na marginesie!

Leo Belmont.

W DALI.

Łódź. Na posiedzeniu chrześciańskiego Towarzystwa dobroczynności rozważano odezwę general-gubernatora warszawskiego w sprawie nieporządków i wypadków złego obchodzenia się służby w schronisku dla obłąkanych. Celem zapobieżenia na przyszłość takim nadużyciom, general-gubernator warszawski proponuje zarządowi Tow. dobroczynności zaprowadzić w schronisku dla obłąkanych środki, stosowane w Tworkach i szpitalu św. Jana Bożego. Chodzi głównie o: 1) możliwe powiększenie służby szpitalnej tak, aby na 5 chorych przypadł jeden służący; 2) ustanowienie czujnego dozoru ze strony nadzorcy oddziału i jego pomocnika nad obchodzeniem się służby z chorymi; 3) zaprowadzenie w raportach dziennych nadzorców rubryki, w której starszy lekarz ma zapisywać uwagi o sprawowaniu się służby, przyczem w razie złego obchodzenia się z chorymi winni będą natychmiast wydalani; 4) wydawanie nagród i podwyższanie etatów służbie, wyróżniającej się sumiennością i troskliwem pielęgnowaniem chorych — i 5) podniesienie poziomu umysłowego i moralnego służby, oraz rozpowszechnianie wśród niej pojęć o pielęgnowaniu chorych, przy pomocy rozdawania broszur specyalnych. Pożądane jest, aby lekarze zajęli się wykładem odpowiednich kursów w formie, dostępnej dla służby szpitalnej. Odezwa poleca konieczne zaznajamianie dozorców oddziałów z włożonymi na nich obowiązkami i w tym celu proponuje, jako środek skuteczny, zaopatrzenie ich w instrukcyę osobną. Zarząd Towarzystwa dobroczynności postanowił prosić komitet przytułku o przeprowadzenie narady, celem zastosowania środków wskazanych. Gubernator piotrkowski pozwolił sprowadzić dwie siostry miłosierdzia ze zgromadzenia św. Wincentego a Paulo. Na członka komitetu przytułku noclegowego postanowiono zaprosić p. Jana Wężyka. Uchwalono, aby składki od członków były zbierane nadal przez inkasentów Towarzystwa przy pomocy opiekunów cyrkułowych.

Dąbrowa Górnicza. Komisya do spraw górniczych w okręgu zachodnim postanowiła: 1) lekarz powinien mieszkać przy szpitalu górniczym, o ile ten posiada więcej, niż 10 łóżek; 2) jeden lekarz w każdym zakładzie i przedsiębiorstwie może przypadać na 1,500 robotników, a najwięcej na 2,000 robotników. Jeżeli jeden lekarz udziela pomocy lekarskiej robotnikom kilku przedsiębiorstw górniczych, to przypadająca na niego liczba robotników nie może przekraczać cyfry 1,500; 3) lekarz, zarządzający ambulatoryum, może równocześnie zarządzać także i szpitalem, jeżeli ten nie posiada więcej, niż 20 łóżek. Jeżeli zaś posiada więcej, niż 20 łóżek, należy wzywać osobnego lekarza szpitalnego; 4) ostateczny termin do wykonania tej uchwały komisyi przez przemysłowców górniczych oznaczono na dzień 13 stycznia 1900 r. — *Kuryer Warsz.* zebrał garść ciekawych szczegółów o udoskonaleniach komunikacyjnych. Sprawa budowy sieci kolei podjazdowych elektrycznych w zagłębiu sosnowicko-dąbrowskiem bliską jest urzeczywistnienia. Z projektami, a zarazem z prośbą o koncesyę wystąpiło 4 przedsiębiorców, mianowicie pp: Ciechanowiecki, Schoen, Dietel i firma niemiecka „Union." Początkowo, każdy z projektów owych 4 koncesyonaryuszów posiadał swoje cechy odrębne, gdy jednak na posiedzeniu komisyi do spraw nowych kolei w ministeryum skarbu wszyscy ubiegający się przystali na jedno, obecnie więc jest właściwie jeden projekt, tudzież kwestya: komu wykonanie jego powierzyć? Ostatni punkt rozstrzygnie komitet ministrów, co się zaś tyczy samego projektu, ten obejmuje sieć rozgałęzień kolejowych: Sosnowice-Będzin-Dąbrowa (12 wiorsty), Sosnowice-Czeladź-Będzin (10 w.), Sosnowice-Modrzejów-Zagórze (11 w.) i Dąbrowa-Psary z odnogami do Łagiszy, Grodźca i Wojkowic (15 w.), ogółem 58 w. Warunki koncesyi są prawie te same, jakie podali właściciele kolei elektrycznej Zgierz-Łódź-Pabjanice, a mianowicie: Rząd nie daje ani zapomogi, ani rękojmi, przeciwnie, koncesyonaryusz płaci skarbowi w ciągu 5 lat pierwszych po 600 rb. od wiorsty, od 6 roku zaś dodaje po 100 rb., aż do sumy 1,500 rb. Nadto, koncesyonaryusz ponosi koszty, jakich wymagać będzie zwiększenie pracy i personelu komory celnej i straży granicznej w Sosnowicach i Modrzejowie. Termin koncesyi 35-letni z prawem skupu przez skarb po 20 latach eksploatacyi. Nowe koleje mają znaczenie ekonomiczne. Według obliczeń statystycznych, mogą one liczyć na przewóz roczny około 26 mil. pudów, w tem 15 mil. p. węgla, 4 mil. p. żelaza i 2 mil. p. cementu. Ruch osobowy może dać 135,000 rb. rocznie.

Petersburg. W Petersburgu z fundacyi ks. Oldenburskiego istnieje świetnie zaopatrzony rozwijający się instytut medycyny doświadczal-

nej, którego kierownikiem jest profesor Nencki. Instytut, przygotowując potrzebny zastęp pracowników, miał być rozsadnikiem takich zakładów w innych miastach państwa, przynajmniej uniwersyteckich. Tymczasem z braku środków zamiar ten nie jest wykonywany; jedynie do instytu petersburskiego zjeżdżają na studya specyalne: lekarze, chemicy, farmaceuci, przyrodnicy, którzy po odbyciu kursów praktycznych w laboratoryach i pracowniach instytutu, wracają do swych zwykłych zajęć. W ciągu letnich miesięcy, gdy instytut jest przez kwartał nieczynny, z łona pracowników stałych instytutu wyjeżdżają delegacye na studya kosztem rządu, jak naprzykład w roku zeszłym na Kaukaz, dokąd udawał się profesor Nencki w asystencyi pomocnika swego, p. Jana Zaleskiego, w celu zbadania przyczyn pomoru bydła, szerzącego się w zastraszający sposób w północnych prowincyach Kaukazu. Uwzględniając pożytek instytutów tego rodzaju, ministeryum spraw wewnętrznych porozumiało się z ministeryum oświaty co do zakładania ich w innych punktach państwa, z funduszów ministeryum spraw wewnętrznych, ministeryum zaś oświaty zamierza zużytkować dawane w tym celu środki na utworzenie wzorem petersburskiego podobnych zakładów przy wydziałach lekarskich, gdzie część urządzeń w laboratoryach i pracowniach już istnieje. — Prasa rosyjska ciągle porusza obecnie sprawę reformy kalendarza: Między innemi pisze *Nov. Wr.*: „Doniosłość państwową reformy kalendarza odczuwała nawet akademia nauk, skoro złożyła Cesarzowi Mikołajowi I raport „o konieczności i korzyściach reformy naszego kalendarza.“ Akademia projektowała wówczas dokonać zmian w sposób prosty, odrazu wykreślając dni 12. Zresztą reforma kalendarza w Rosyi nie będzie pierwszą. Dawniej nowy rok rozpoczynał się w Rosyi od 1 marca, później od 1 września (licząc od stworzenia świata). Piotr Wielki przeniósł tę datę na dzień 1 stycznia, a wszystkie te zmiany przeszły bez wrażenia. Dziś najlepsza pora do nowej reformy. Za rok różnica będzie czyniła już 13 dni, a 13 dni — to wszak pół miesiąca!“

Jekaterynosław. Powstało w mieście nowe Towarzystwo akcyjne, które zakupiło i powiększa fabrykę armatur oraz odlewów mosiężnych, z kapitałem zakładowym rb. 200,000. Założycielami są pp. Krzyczkowski i Kieszkowski. Ustawę zatwierdzono d. 23 grudnia r. z. Przedsiębiorstwu temu wróżą powodzenie, gdyż zapotrzebowanie na odlewy mosiężne jest ogromne.— Katolickie Towarzystwo dobroczynności w Ekaterynosławiu obchodziło pierwszą rocznicę istnienia. W roku tym wpłynęło do kasy Towarzystwa rb. 4,706. Wydatki na utrzymanie szkółki i zapomóg wynoszą rb. 2,517. Największy dochód dała loterya fantowa, którą zajmowały się kobiety miejscowe.

KRONIKA.

Szkoły. W uniwersytecie charkowskim, jak donosi *Juznyj kraj*, wywieszono następujące zawiadomienie rektora: „Ponieważ studenci Cesarskiego uniwersytetu charkowskiego przez czas dłuższy uporczywie nie przychodzili na wykłady i inne zajęcia naukowe, przeto są uznani, stosownie do rozporządzenia wyższej władzy naukowej, za uwolnionych z uniwersytetu. Świadectwa uwalniające będą im wydane przez policyę. Ci, którzy zechcą nadal uczęszczać na przerwane wykłady i zachowywać przepisy obowiązujące, powinni przysłać pocztą miejską lub zamiejscową podania do rektora, załączając swój adres.“

— Dyrektor prywatnej szkoły handlowej im. Leopolda Kronenberga w Warszawie zawiadomił swoich uczniów, że z końcem bieżącego roku szkolnego zwija swój zakład.

— *Warsz. Dn.* zaprzecza zapewnieniom niektórych pism rosyjskich, że jakoby we wszystkich zakładach naukowych lekcye miały się skończyć d. 1 czerwca r. b. Skończą się one w zwykłym czasie [illegible]

Prasa. Główny zarząd do spraw prasowych ogłasza w *Praw. Wiest.*, iż trzy koncesye na wydawnictwa: *Chemik-kolorysta* p. Selig Majersohna, *Kuryer lekarski* dr. Jana Rauma i *Tygodnik kolejowy i ekonomiczny* p. Ksawerego Radziszowskiego - wszystkie w Warszawie - - upadły, dwie pierwsze na zasadzie art. 120 (nieskorzystania z otrzymanej konsyi w ciągu roku), ostatnia zaś na zasadzie art. 121 (zawieszenie wydawnictwa już przedtem wychodzącego przez przeciąg roku).

Poczta. Z d. 13 marca zaczęły obowiązywać nowe przepisy, dotyczące przesyłki pieniędzy za pomocą przekazów pocztowych i telegraficznych. Dotychczas pieniądze tą drogą można było wysyłać jedynie do tych miast, które posiadały kasy skarbowe albo też rozchodowo - dochodowe ministeryum skarbu. Obecnie można wysyłać przekazy pieniężne do wszystkich instytucyj pocztowych i pocztowo-telegraficznych w Rosyi europejskiej (z wyjątkiem Finlandyi), na Kaukazie, w kraju turkiestańskim i obwodzie zakaspijskim. Do miejscowości na Syberyi będą przyjmowane przekazy pieniężne od d. 13 maja. Od powyższej daty zaczęła też obowiązywać za przesyłkę pieniędzy pocztą do wszystkich miejscowości nowa taksa w następujących rozmiarach: za przesyłkę pieniędzy do 25 rb. — po 15 kop. za każdy przekaz; od sumy po nad 25—100 rb. — 25 k. za każdy przekaz. Przy przesyłaniu pieniędzy za pośrednictwem telegrafu pobierana jest oprócz tych opłat, jak i dotychczas, opłata według taryfy telegraficznej za zwykły telegram 20 wyrazów.

Zapomogi i nagrody. Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze ogłasza, iż w r. b. będą przyznane zapomogi dla młodzieży kształcącej się w ogrodnictwie, oraz nagrody dla ogrodników za wieloletnią służbę [illegible]

Konkursy. Krakowskie Towarzystwo techniczne rozstrzygnęło konkurs, ogłoszony przez wydział Towarzystwa Domu narodowego w Cieszynie, celem uzyskania szkiców do projektu budowy tego domu. Z siedemnastu prac wyróżniono trzy. Autor pierwszej, p. Karol Skawiński, asystent wydziału budownictwa wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie otrzymał 300 koron nagrody; drugiej, p. Wincenty Dylewski, inspektor budownictwa miejskiego w Berlinie, 200 koron; trzeciej, p. Stanisław Majewski, budowniczy we Lwowie, 100 koron.

— *Ogrodnik Polski* zapowiada konkurs na broszurę „O uprawie wierzby koszykarskiej.“

Wystawy i zjazdy. Zjazd międzynarodowy w sprawie chorób wenerycznych odbędzie się w Brukseli między 4 a 8 września r. b.

— Komitet Muzeum rzemiosł postanawia urządzić w jesieni wystawę tkacko-przędzalniczą w War[illegible]

Katastrofy kolejowe. Na kolei Wiedeńskiej, w obrębie stacyi warszawskiej, pociąg towarowy zetknął się z parowozem. Ciężko pokaleczeni smarownik i konduktor, lekko — nadkonduktor.

— Z Dźwińska donoszą *Gazecie Polskiej*: „Dnia 4 b. m. w pociągu osobowym, idącym z Rygi do Dźwińska, wszczął się tak gwałtowny pożar, że w jednej chwili część osób, znajdujących się w tym wagonie, poniosła śmierć na miejscu, część zaś poparzonych znajduje się obecnie w szpitalu w Rydze. Stan tych ostatnich jest bardzo groźny. Mniejsze oparzenia otrzymało jeszcze kilkanaście osób, którym na miejscu wypadku udzielono doraźnej pomocy. O ratunku mowy być nie mogło, gdyż przed skontrolowaniem biletów zamknięto na klucz drzwi wagonu.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. B. Fakt bardzo wymowny, ale ogłosić go nie [illegible]

Si- re—do. Prosimy o adres, który nam zaginął.

Niepodpisanemu. Dlaczego Pan swej notatki nie przesłał wprost do *Kur. Codz.*?

— Warszawskie Towarzystwo hygieniczne ma zaszczyt prosić szanowną Redakcyę o pomieszczenie poniższej odezwy:

Wkrótce, bo już za kilka tygodni zacznie się w całym kraju zwykłe doroczne szczepienie ospy ochronnej. Kraj nasz cierpi od ospy bardziej, niż którykolwiek inny w Europie, a mimo to okazujemy względem szczepienia karygodne niedbalstwo. Ludzi ani razu w życiu nieszczepionych jest u nas mnóstwo, a są oni coraz niebezpieczniejsi dla ogółu, bo gęstość ludności w kraju coraz bardziej wzrasta, a z nią i łatwość powstawania epidemii. W najbardziej zaludnionych przemysłowych miastach i okolicach kraju epidemia ospy trwa nieu[illegible]

Tak dłużej być nie może. Jeżeli tyle wielkich miast i całe państwa nawet pozbyły się niemal zupełnie ospy, i w całem np. państwie niemieckiem było wypadków śmierci z ospy w roku zeszłym mniej, niż w samej Warszawie, a w bliskim nam Krakowie całemi latami nie bywa jednego przypadku śmierci z ospy, dlaczegóż u nas tylko corocznie ma umierać po kilka tysięcy ofiar z choroby od stu lat już opanowanej przez ludzkość? Przecież pozbyć się tej klęski możemy bez żadnych kosztów i zachodów, jedynie dobrą wolą. Zaszczepić sobie ospę każdy może u nas darmo lub prawie za darmo. Dziś klęską jest nie ospa, ale nasza cierpliwość, z jaką ją znosimy, prawie że pielęgnujemy.

Towarzystwo hygieniczne uważa za swój obowiązek wezwać wszystkich mieszkańców kraju, bogatych i biednych, do otrząśnięcia się z tego niedbalstwa. Każdy człowiek u nas powinien mieć ospę szczepioną i to nietylko w pierwszym roku życia, ale i drugi raz między 7 a 12 rokiem. Każdy, kto nie dopełni tego sobie i swym dzieciom, musi zrozumieć, że nietylko siebie i swe dzieci jakby umyślnie naraża na niebezpieczeństwo, ale że winien jest w części śmierci tych kilku tysięcy, które u nas co roku giną z ospy.

Prosimy duchowieństwo wszystkich wyznań, aby użyło swego wpływu dla przekonania ludności, jak koniecznem jest dwukrotne szczepienie i jak występnem — niedbalstwo w tym względzie.

Prosimy inteligencyę kraju, aby przedewszystkiem dała dobry przykład z siebie *), aby dalej nie żałowała słowa namowy, które przecież nic nie kosztuje i zwracała się z niem do mniej oświeconych braci.

Prosimy wszystkich pracodawców, właścicieli ziemskich i miejskich, przemysłowców, kupców, majstrów, aby od robotników, służby i czeladzi, którzy nigdy jeszcze szczepieni nie byli, domagali się obowiązkowego szczepienia ospy sobie i swym rodzinom. Niech ludzie nigdy jeszcze nieszczepieni rozumieją, że ich się każdy boi, że ich nikt nie chce, że niosą z sobą nieszczęście.

Przypominamy, że oddając dziecko do szkół, trzeba je szczepić powtórnie, żeby i własne dziecko ochronić i cudzych nie narażać.

Przypominamy, że aby ospa szczepiona łagodnie dzieciom przeszła i dobrze je zabezpieczyła od choroby, szczepienie musi być jak najczyściej wykonane: dziecko więc przed szczepieniem wykąpane i w czystą bieliznę ubrane być winno.

Przypominamy, że spieszne zawiadomienie władz o każdem zachorowaniu na ospę jest obowiązkiem wszystkich, jako jedyny środek, pozwalający stłumić epidemię w zaczątku.

Z poważaniem

Prezes Rady *J. Kosiński*.

Członek-sekretarz Tow. *Szumlański*.

— Redakcya „**Jednodniówki**“ na rzecz Warszawskiej Kasy Przezorności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy p. t. „**Grosz do grosza**,“ uprasza niniejszem wszystkich polskich literatów i dziennikarzy, oraz artystów malarzy, o przyjęcie współpracownictwa w tej *Jednodniówce*.

Utwory nadsyłane, mogą być wszelkiego rodzaju i treści, prozą lub wierszem. Rozmiary utworów niewielkie, jak zwykle do podobnego rodzaju wydawnictw.

Rysunki (do wytrawienia) mogą być wykonane piórkiem, tuszem, akwafortą lub kredką.

Rękopisy i rysunki upraszamy nadsyłać do *redakcyi „Muchy“ w Warszawie, Wierzbo-*

*) Nawet w Warszawie blizko trzecia część inteligencyi zaniedbuje powtórnego szczepienia.

wa 8, lub do *księgarni Jana Fiszera, w Warszawie, Nowy Świat 9*, z uwagą na kopercie: *„dla Jednodniówki.“*

Termin ostateczny przyjmowania materyałów do *Jednodniówki* upłynie z d. 15 kwietnia r. b.

Hasłem tego wydawnictwa jest: *„Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże“* sądzimy więc, iż w imię tych głębokich słów, *wszyscy polscy pisarze i artyści malarze*, zasilą swą pracą *Jednodniówkę*, z której zysk czysty przypadnie w udziale naszej Kasie Literackiej:

Włodzimierz Pląskowski. Franciszek Kostrzewski. Maryan Gawalewicz. Władysław Buchner. Franciszek Reinstein.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, mając zezwolenie sukcesorów ś. p. Juliusza Kossaka, artysty malarza, na urządzenie wystawy pośmiertnej dzieł tego mistrza i pragnąc, ażeby wystawa ta była najobfitszą w cenne prace zmarłego, a tem samem dała, o ile można, dokładne wyobrażenie o jego artystycznej działalności, zwraca się do posiadaczy dzieł ś. p. Kossaka z prośbą o łaskawe udzielenie tychże dzieł na rzeczoną wystawę.

Nadmieniając przytem, że dochód, jaki z tejże wystawy osiągniętym będzie, stanowić ma fundusz na wsparcia stypendyalne dla artysty kształcącego się w kierunku malarstwa, jakiemu przeważnie oddawał się ś. p. Juliusz Kossak, Komitet oczekuje od osób, których dotyczy powyższa prośba, przychylnego i łaskawie spiesznego zawiadomienia pod adresem Towarzystwa, Krakowskie Przedmieście Nr. 64.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 5 Марта 1899 г. — Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.